Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 19. Grudnia 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 51.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

IV.

Mąż pięknej żony.

(Ciąg dalszy.)

Układy o sprzedaż lasu nie szły jakoś gładko, a tymczasem państwo Jankielowicze mieli czas tak pokochać Szymona, jakby własnego syna. Stary mówił już do niego »mój ty kochaneczku«, a panna Aniela grywając z nim na cztery ręce, łajała wdzięcznie, że nie potrafi utrzymać taktu.

Zamiłowanie pana Szymona do muzyki tym razem nie było odosobnionem. Pan Jankielowicz, mimo tak prozaicznego zajmowania się interesami, zaczął przepadać także i za muzyką. Bywało wchodzi do salonu gdy Adelcia się produkuje, to taki go zapał porywa, iż nie zdejmując kapelusza z głowy, staje na środku w artystycznej postawie, wywija takt laską i na całe gardło wtóruje córce.

— Ja, uważasz mój kochaneczku — mówi klepiąc po ramieniu Szymona — taki jestem pasjonat do muzyki, że nie mogę wytrzymać. A co, nie prawda, jaki mam bas? Adelciu, zagraj jeszcze toż samo, niech on moj bas usłyszy!

Odkryliśmy tedy znów nowy talent, którym pan Bóg tego ulubieńca swego obdarzył.

Drugi raz, widząc, że zadumany Jagłowski siedzi gdzieś w kąciku i gryzie paznogcie, zaczyna klaskać w ręce i krzyczeć basem.

— Osoliński! Hej ty Osoliński!

Na to wezwanie pokazuje się we drzwiach stary przygarbiony lokaj i staje rozpatrując się dość głupowato do koła.

— Słuchaj ty Osoliński, dlaczego pan Jagłowski nie pali? Czy ty nie wiesz gdzie są moje cygara? — Następnie zwróciwszy się do gościa, dodaje z sensacyjną miną: — Jak te stare pańskie rody u nas się przeżywają! Cobyś powiedział kochaneczku, że ten mój człowiek jest prawdziwy Osoliński. Daję słowo honoru, przeglądałem jego papiery, z tych samych, którzy jeździli sankami po cukrze w Rzymie, żeby pokazać zimę polską papieżowi. Ja szanuję tradycję, i dlatego choć on jest taki niedołęga, wziąłem i trzymam...

W tydzień potem, panicz i panienka, nagrawszy się do woli na fortepianie, chodzili obok siebie milcząco po pokoju. Świece się dopaliły w lichtarzach i tylko mała lampka ustawiona na kominku, rzucała nieco przyćmione światło. Jakby czatując na to, przeżyty jeszcze bardziej niż nasi panowie, stary księżyc, pokazawszy nos swój z za muru przeciwległej kamienicy, zajrzał blademi oczyma do wnętrza salonu. Trzeba zdarzenia, że para naszych piękności, ma się rozumieć Adelka zewnętrznej, a Szymon wewnętrznej, jak raz zagapiła się na pucołowato-pijaną twarz tego jegomości, a zbliżywszy się ku drzwiom wiodącym na balkon, stanęła obok siebie. Jak długo tam stali, nie umiem powiedzieć, dość, że naraz westchnęli, a westchnąwszy jakoś ich ręce dotknęły się wzajemnie. Jestem przekonany, że te ręce trzymając się czas jakiś nie musiały próżnować, bo zaraz potem wyrwało się panu Szymonowi *kocham* — pannie Adeli: *i ja także* — potem dało się słyszeć przytłumione mlaśnięcie, lecz coby ono miało znaczyć, to chyba już sam księżyc powie; lampa bowiem jak każda lampa, stała na kominku i nic nie wiedziała. Naraz panna myk z salonu, i nim pan Szymon gapiący się wciąż na księżyc, był w stanie przyjść do siebie, już oboje państwo Jankielówicze są obok niego, porywają go w swoje objęcia, tulą, łzami radości roszą i tak podają jedno drugiemu, jak sobie podają studenci piłkę gumelastyczną.

— Osoliński! — krzyknie pan domu, wybiegając do przedpokoju — idź mi natychmiast po pana starszego — rozumiesz Osoliński, zbudź i proś, aby koniecznie przyjechał!

Było to już po północy, a konsyliarz spał sobie w najlepsze, kiedy go zbudzono.

— Co się tam stało?

— Nie wiem proszę jaśnie pana, może panienka zachorowała, czy co, bo tam w salonie latają wszyscy jak warjaci.

Konsyljarz tedy nie wiele myśląc, kazał sobie podać futerko i tak w wielkim negliżu, wyładowawszy kieszenie różnemi narzędziami lekarskiemi pojechał do zięcia. Proszę sobie wyobrazić jego zawstydzenie, gdy w takim stroju wpadł do salonu, w którym już zgromadzonych było kilkanaście dam kuzynek, sprowadzonych na uroczystość zaręczyn. Objaśniono go wkrótce o co rzecz idzie, a gdy młodzi narzeczeni uklękli, prosząc o błogosławieństwo, stary rozpłakał się na dobre, i co się do nich nachyli, to jakiś instrument doktorski wyślizga mu się z kieszeni, co bynajmniej nie dodaje powagi całej uroczystości.

— No, ja się nie spodziewałem, żeby mię tak przyjemna czekała operacja — mówi w końcu śmiejąc się sam ze swej komicznej sytuacji. — Panie darują, ale ja jestem doktor... No, ty, mój kochany

Szymonie, ja ciebie się pytam jaki ty jesteś szczęśliwy, powiedz ty otwarcie?

Pan Szymon potwierdził i potwierdzał ciągle to szczęście, aż do samego dnia ślubu, bo cała liga Jankielewiczów z attynencją Rubnerów w dalszym i bliższym stopniu, pytała go o to przynajmniej po piętnaście razy dziennie.

Naturalnie, że teraz układy o kupno lasu poszły jak z płatka, zwyczajnie między familją. Spisano także intercyzę przedślubną, w której pokwitował z odbioru dziesięciu tysięcy rubli posagu, dozwalając go z różnemi zastrzeżeniami hypotekować na Wielkich Jagłach. Pan Szymon wszystko podpisywał, lecz jeszcze dziś nie może sobie przypomnieć, kiedy i w jaki sposób on ten posag odebrał, bo prócz kilkuarkuszowego spisu wyprawy panny Adeli, który mu przy akcie dołączono — złamanego szeląga od państwa Jankielowiczów nie widział.

Jak się odbyło wesele z wszystkiemi ceremonjami podług staropolskiego zwyczaju, jak kuzynek Szteinfeld, wysłany umyślnie do Wielkich Jagłów, przyjął ich na czele gromady przy bramie tryumfalnej wśród rzęsistego oświetlenia i ogni bengalskich — nie będę tu opowiadał. Ciekawych odsyłam do pana Jankielowicza, który dotąd zachowuje w tej samej tece co i dyplom, numer Kurjera odbity na różowym papierze, w którym to wszystko z detalami jest opisane.

Nakoniec zdawałoby się, że państwo Jagłowscy zostaną przecie sami. Pan Szymon już zdał gospodarstwo domowe młodej pani, a ta z całą energją wzięła się do zarządu. Lecz nie upłynęło trzech dni, gdy razem z pięciu ogromnymi kuframi, zjawia się pani Jankielowicz w Wielkich Jagłach. Powiada: nie mogłam wytrzymać bez Adusi i przyjechałam. Gniewajcie się jak chcecie, ja tu muszę parę tygodni posiedzić.

Kiedy musi — to cóż miał zrobić pan Szymon. I choć nie lubił gości, jednak przez wzgląd na żonę, starał się być uprzejmym dla matki.

W tydzień potem zjechały znów dwie kuzynki pani, obie już panny doletnie, a tak zakochane w pięknej Adelci, że również nie mogły już dłużej wytrzymać bez niej. Nakoniec i papa Jankielowicz pragnął urządzić cięcie kupionego lasu, zjechał w towarzystwie jeometry z dwoma pomocnikami, zapowiadając przybycie kuzynka Adolfa, doktora chemji, który skończywszy studja za granicą, czekał na posadę dyrektora fabryki, otworzyć się mającej za parę miesięcy.

Można sobie tedy wyobrazić, co się tam działo w duszy biednego szlachcica lubiącego spokój i samotność, szlachcica, będącego w kruchych interesach, kiedy co tydzień zjadano pół wołu i wypijano wszystko mleko przeznaczone dla pachciarza.

Żeby jeszcze jedli i pili byłoby pół biedy; — ale pani Adela w imię staropolskiej gościnności, napędzała go nieustannie do usług całej gromady krewniaków. »Szymonie, papa się nudzi« — szeptała mu do ucha, widząc, że staremu drą się usta od ucha do ucha.

— Szymonie — zobacz czy pan Adolf ma w swoim pokoju wszystko co potrzeba. Szymonie każ podać świece do fortepianu. Szymonie duszko, mama chce przejechać się na spacer, Szymonie ty jedź z nami, Szymonie każ wygracować ulice w ogrodzie, Szymonie poświeć na schodach,... słowem Szymonie pojedź, zobacz, daj, baw, graj, jakby ten Szymon był do wszystkiego, bo ty Szymonie jesteś gospodarzem domu i powinieneś być grzecznym.

Ze swej strony znowu, cała ta gromada, przy najmniejszem życzeniu Szymona, aby żona zajęła się gospodarstwem domowem, krzyczała jednogłośnie:

— Szymonie, jak ty możesz pozwolić, żeby ta śliczna Adelka tak się trudziła.!..

Przyszedł jej kaprys jednego dnia wstać rano i przygotować mężowi śniadanie. Wstała, pan Szymon był uszczęśliwiony, żonę uściskał, a rozpowiedziawszy o stanie swoich interesów, prosił żeby sama pilnowała służby i porządku domowego... Ale w kilka godzin potem gdy wrócił z pola, wszystkie oblicza gości przywitały go takim marsem, że biedak nie wiedział co z sobą zrobić. Mama wzięła go na stronę i powiedziała reprymendę, jak może na to pozwolić, aby tak delikatna osoba dodnia wstawała; papa zrobił toż samo, ale już tonem rozkazującym dając mu poznać; że nie umie szanować tak pięknej kobiety. Kuzynki zwróciły jego uwagę, że Adelcia wygląda jak z krzyża zdjęta, a pan Adolf takie postępowanie męża nazwał szlacheckiem barbarzyństwem. Umilkł zakłopotany pan Szymon, sumitował się, zaklinał, że on tego nie żąda i w słowach pełnych żalu i prośby zakazał żonie, aby tego więcej nie robiła.

Pomimo takiej kurateli, pani Adela całemi siłami rwała się do gospodarstwa. Sprowadziła sobie mnóstwo książek o hodowli drobiu i z całym zapałem wzięła się do tego. Postawiono śliczny kurnik, dziadek przysłał kilka kur zagranicznych na początek, więc po całych dniach o niczem nie myślała tylko o drobiu... Całowała żółte dzióbki piskląt, wprowadzała młode stadko do swego pokoju, wstawała w nocy aby je karmić, a Szymon cieszył się, że przecież bierze się do czegoś. Ale nieszczęście mieć chciało, że trafił się w tych czasach większy przymrozek, a że kurnik zostawiono otwartym, cały ród młodych czubatek jednej nocy wyginął. Płacz, lament, spazmy, historje i znowu cały chór zaśpiewał: »Szymonie, jak ty możesz na to pozwolić.« W dalszym ciągu usiłowania pięknej pani zwracały się do różnych gałęzi gospodarstwa domowego. Zachwycała się młodemi owieczkami, co dzień chodziła do owczarni, wiązała im atłasowe wstążki na szyi, lecz gdy pewnego razu zamoczyła trochę nogi i dostała kataru, znów zawołano: »Szymonie jak ty możesz pozwolić« — i skończyła się opieka nad owieczkami. Przyszła kolej na ogród i kwiaty. Tu już nie było protestu, ale gdy wśród najgorętszego żniwa kazała sobie dostarczać po dwadzieścia kobiet do pielenia gazonów, a Szymon trochę się skrzywił — dalejże na niego: Szymonie, jak ty możesz takiej przyjemności żonie odmówić!

Nie odmawiał ale się gryzł i widząc że cały zarząd domu zostaje na łasce bożej, sam wziął się do wszystkiego. Zamiast pilnować robót w polu i dozorować po za domem, wydawał na obiad, nosił klucze od spiżarni, dyrygował służbą, nalewał herbatę, — słowem przyjął na siebie obowiązki gospodyni, klucznicy, pokojówki i znosił w pokorze wszystkie grymasy i niezadowolenia szanownych gości. Piękna żona za to czytywała romanse, grała, rysowała widoki z Wielkich Jagłów i głaskała męża delikatną rączką po twarzy mówiąc:

— Jaki ty poczciwy i dobry jesteś, Szymonie!

Nieszczęście mieć chciało, że pan Adolf chemik, nie mogąc się doczekać owej fabryki, której miał być dyrektorem, — ani myślał wyjeżdżać z Wielkich Jagłów. Nie ma go dzień, dwa, — to znowu powraca do pięknej kuzynki, i żeby się nie nudzić, proponuje naukę chemji i fizyki...

— Jaki ty dobry jesteś Adolfku! — powiedziała na to piękna pani, podając mu rękę... Szymonie, podziękujże kuzynkowi, że taki łaskaw... Ach, ja tak dawno pragnęłam wziąść się do jakiej nauki!... bo nauka jest wszystkiem dla kobiety!

Szymon podziękował, i urządzono małe laboratorjum w kredensowym pokoju, sprowadzono retorty i inne przyrządy, a pani z niezwykłym zapałem wzięła się do chemji. W całym dworze nie mówiono odtąd o niczem więcej tylko o naukach przyrodniczych; — obserwowano rośliny pod mikroskopem, czytano poważne dzieła, i żeby ta nowa praca mogła znaleść zastosowanie, pani Adela wzięła się do medycyny z praktyką lekarską na wsi. Codziennie podczas pogody pieszo, a podczas deszczu powozem, odwiedzała pani Adela swoich pacjentów, dawała lekarstwa, posyłała jedzenie ze dworu, a że kuracja szła jakoś pomyślnie, więc w parę tygodni ludzie na kilka mil z okolicy przychodzili i przyjeżdżali do Wielkich Jagłów po radę i lekarstwa, a sława cudownej doktorki rosła jak na drożdżach.

— Szymonie, kochanku — mówił stary Jankielowicz klepiąc zięcia po ramieniu — nie powiesz żebym ja ci dał głupią żonę?

— A proszę tatki dobrodzieja— odpowiedział rozpromieniony szlachcic — to jest fenomen kobieta.

— Tak tak, masz racją, — ona jest prawdziwa fenomena, ten wyraz *fenomena* wymawiając z przyciskiem, jakby go chciał delikatnie poprawić. Ty ją szanuj i kochaj Szymonie, bo ty mi będziesz odpowiedzialny za to dziecko.

Trwało to wszystko coś dwa lata, a że pan Adolf musiał dla zwiedzenia pewnych fabryk wyjechać za granicę, więc opustoszał dwór w Wielkich Jagłach i zaczęły się nudy pięknej pani. Towarzystwo sąsiadów nie smakowało, mężczyzn jeszcze znosiła jako tako, choć przeważnie rozpowiadali tylko o swoich tryumfach na polowaniu i grali w karty, ale co do kobiet, to nazywała je wszystkie poczciwemi gą-

skami. Dla tego też coraz częściej dostawała bolu głowy, gdy który przyjechał w odwiedziny, i panowie bawili się sami w kancelarji pana Szymona od której szczelnie zamykano drzwi do dalszych pokoi, żeby tam zapach tytoniu nie dochodził. Dla pań znowu to już była wciąż cierpiącą, a że nie oddawała wizyt, więc powoli wszelkie stosunki z sąsiedztwem przerwano.

Za to coraz to częściej jeździła do rodziców. Pan Szymon odwiedzał ją w każdą niedzielę i święto, a że wydatki na to wszystko ponoszone zwiększały się ciągle, skąpił dla siebie, oszczędzał się do ostatniej możliwości, bo nawet żałował na dorożkę z dworca kolejowego do mieszkania rodziców.

(Dokończenie nastąpi.)

DWAJ POLSCY MALARZE.

NAPISAŁ

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Dokończenie).

II.

Nim przystąpimy do ocenienia prac malarskich braci Siemianowskich i rozpoczniemy ich przegląd, musimy choć pokrótce przedstawić artystyczne stosunki Wiednia między 1825 a 1835 rokiem; zatem w czasie, gdy Siemianowscy odbywali tam swoje naukowe i artystyczne studja.

Najsamodzielniejsze, najbardziej genialne natury artystyczne, mają zawsze w swoim kierunku pewne — choćby najmniejsze — naleciałości tych przyzwyczajeń czy przekonań, jakiemi oddychały w najwrażliwszej porze życia — młodości; mimowiednie przypominają sferę z której wyszły. Jestto prawda stwierdzona krytycznym rozbiorem dzieł najcelniejszych mistrzów; a jeżeli z pod tej reguły nie potrafił się wyłamać geniusz Rafaela, Schillera, Mickiewicza, Matejki, to tem niej ludzie, którzy tylko talentami zaświecili na polu sztuki.

Koniecznem jest przeto rozpatrzeć stosunki, wśród jakich rozwijały się w Wiedniu zdolności artystyczne Siemianowskich; gdyż przegląd taki pokaże nam, że kierunek, jaki się ujawnia w pracach obu braci, wyniknął ze stosunków, wśród których się kształcili; pokaże nam, że wszystkie wady, jakie w ich dziełach spotykamy, są dziedzicznemi błędami szkoły, która ich wychowała.

Ówczesne stosunki artystyczne, zwłaszcza malarskie, w Wiedniu były bardzo smutne i ci, którzy patrzą na dzisiejszy rozwój tego miasta, pod względem artyzmu; na całe grono najcelniejszych malarzy i rzeźbiarzy; na świetność architektury wiedeńskiej, ani mogą, ani chcą przypomnieć sobie, czem był dla artystów Wiedeń przed laty pięćdziesięciu.

Jeżeli piętnastolecie dziejowe po kongresie wiedeńskim, w całej Europie wywołało prądy reakcyjne w polityce, to ostatnie jego lata przed r. 1830, odznaczyły się reakcją do dziesiątej potęgi podniesioną; a z wszystkich metropol Europy, odznaczał się wstecznictwem i ospałością duchową najwięcej Wiedeń. Reakcja inaugurowana przez rządy, przynajmiej w krew ludów nie przeszła; jednym Wiedeńczykom stała się potrzebą duchową i podczas gdy w Niemczech i Francji ludzie z pomocą malarskich płócien mogli wypowiedzieć myśli, jakichby im w słowach wypowiedzieć nie dozwoliła cenzura; w Wiedniu nie uczuto nawet potrzeby tej furtki, do przemycania ducha wolności, i dlatego każdy, choćby najskromniejszy objaw wolnomyślności na płótnie, karało społeczeństwo wiedeńskie obojętnością i lekceważeniem dla artysty. Z tego powodu wszystkie znakomitsze siły artystyczne, wszyscy genialni malarze, urodzeni i wychowani w Wiedniu, opuszczali go, przyszedłszy do poczucia swego talentu lub geniuszu i w Niemczech, Francji, Anglji, Włoszech szukali schronienia i odpowiedniego pola dla swej artystycznej działalności. Atmosfera Wiednia była dla nich ciasna i duszna; były to artystyczne — Chiny.

Te perjodyczne ucieczki malarzy ze stolicy już od dawniejszych powtarzały się czasów, boć sławny później Overbeck i Schnorr von Karolsfeld jeszcze przed rokiem 1820 opuścili Wiedeń, nieznalazłszy w nim ani zachęty, ani uznania; a w czasie, który nas głównie obchodzi, porzuciło stolicę całe grono malarzy. że tutaj wspomnimy tylko Schwinda, Pettenkofena, Steinlego, zaś pozostali, zaledwie z ciężką biedą wyżyć potrafili, zbywając swoje arcydzieła za bagatele. Jeżeli tacy jak Damhauser, Zimmerman, Ammerling, Waldmüller, Gauerman, wśród ogólnej obojętności Wiednia dla sztuki, czasy, o których mówimy, przetrwać zdołali, zawdzięczają to owej niespożytej sile woli, która cechuje wielkie talenta.

Nie sądźmy jednak owoczesnego kierunku sztuki wiedeńskiej z tych imion. Były one mało znane i mało cenione. Przewodniemi gwiazdami na polu malarstwa, byli wówczas ludzie, których nazwiska jako artystów, już dawno zginęły w „zapomnienia fali“, ale którzy obok miernych talentów, mieli wielkie zdolności do zginania karku przed potentatami, kamarylą dworską, a umiejący prócz tego, wejść w tajne intencje sfer rządowych. Niktby nie uwierzył, że taki Schödlberger, o którym znakomity krytyk wiedeński Sanzoni mówi, że „mit seinen in Superlativ idealisirten Landschaften, war er ein schlecht verstandener Abklatsch von Claude-Lorrain,“ należał do pierwszorzędnych malarzy ówczesnego urzędowego Wiednia; że obrazy Steinfelda, Liedera senior i Lampiego uchodziły za ostatni wyraz sztuki.

Na akademji działał wtedy i nadawał jej ton Józef Führich, mistrz, którego nazwisko i dzieła przejdą do późnej potomności, ale który jako profesor, miał tę zaletę, że wykładem swoim i swojemi zasadami, odstraszał wszystkie talenta, o duszach wolnomyślniejszych, jako skrajny zelota religijny i polityczny wstecznik. U niego sztuka była dziełem trójcy świętej, a pojedyńcze działy tejże właściwościami jednej z osób, trójcę świętą składających. Wiek ośmnasty, wiek przebudzenia się ducha ludów ku wolności; był dla niego najgłupszym z wszystkich wieków; umiejętności ścisłe o tyle tylko dopuszczalne, o ile nie sprzeciwiały się podanom biblii i dogmatom katolicyzmu.

Że ludy stworzone są tylko na to, aby władzy „z bożej łaski“ pochodzącej, słuchały, rozumiało się u niego, samo przez się. Schiller był dla niego obałamuconą głową, a z Kosmosu Humboldta porządny człowiek niczego nanczyć się nie może. Kto nie wierzy naszym słowom, łatwo się o ich prawdzie przekona, wziąwszy do rąk pisma Führicha, które Sartori wydał w roku 1869 w Wiedniu pod ogólnym tytułem: „Von der Kunst“. Słusznie, a zarazem dowcipnie twierdzi Ranzoni, że ażeby módz bez uprzedzenia wielbić mistrzowskie dzieła Führicha, trzeba się wystrzegać przeczytania jego pisma „Von der Kunst“.

Taki to człowiek stał na świeczniku akademji sztuki, z pod takiego kierunku miała wychodzić młodzież poświęcająca się sztuce.

Owoczesne społeczeństwo wiedeńskie, pojedyńcze odliczywszy osobistości, nie wymagało od artystów obrazów historycznych, dzieł wielkiego stylu; zadawalało się ono portretem, zwłaszcza gdy on był wycackany, wychuchany, bezkrwisty i beznamiętny. Sposób taki malowania, zwany po niemiecku „eine geleckte Schönmalerei“, a po polsku lizaniną, był w owym czasie na porządku dziennym, u wszystkich uznanych urzędownie malarzy.

W taką to więc artystyczną atmosferę dostali się bracia Siemianowscy; z takiego mętnego źródła mieli zaczerpnąć artystycznej wiedzy. Zdrowej naturze polskiego ducha zawdzięczają, że z takiej szkoły nie wyszli bezdusznymi bazgraczami.

Raz sobie zamierzywszy wykształcić się na malarzy, dołożyli wszelkich starań, aby nabyta nauka przyniosła im pożytek i rozwinęła ich talenta. Nie poprzestali więc na udzielanej im urzędownie w Teresianum nauce rysunku i malarstwa; nie poprzestali nawet na studjach u profesora Steinfelda, który wtedy do najcelniejszych pejzażystów należał; ale z kilkoma rówieśnikami, między którymi wymienimy tylko braci Pausingerów, zawiązali stosunki z nieurzędowymi malarzami, a mianowicie z Zimmermanem i Gauermanem, i od nich uczyli się tajemnic prawdziwej sztuki; uczyli się rozumieć prawdziwy artyzm. Do Führicha nie czuli pociągu. Malarstwo religijne nie leżało w ich rzutkiej, energicznej, młodzieńczej naturze; historyczne byłoby więcej odpowiedziało ich życzeniom, ale wówczas o wszystko w Wiedniu było łatwiej, jak o historycznego malarza, któryby młodym Siemianowskim mógł był wyjaśnić tajniki tego najwznioślejszego działu malarstwa; pokazać drogę, jak się tworzą obrazy wielkiego stylu, najpotężniej mówiące o duchu ludzkości, do ducha ludów.

Miałem po śmierci Maksymiliana sposobność przypatrzenia się akademickim studjom malarskim obu braci; studjom z antyków i żywych modeli i twierdzę stanowczo, że uczono ich figuralnego rysunku tak, aby się nigdy i niczego nie nauczyli. Odlewy gipsowe, z których kopiowano antyki, były bardzo lichego gatunku, co więcej, nie było między niemi ani jednego znakomitego posągu starożytnego, tylko rzeczy mniejszej wagi i pośledniego znaczenia. Co się zaś tyczy rysunków z żywych modeli, świadczą one, że nauczyciele ograniczali to studjum do minimum, byli skromni aż do śmieszności. Najwięcej przerysowywano stare wzory, liche miedzioryty, obrzydliwe kopie, jak gdyby z uczniów chciano wypędzić chętkę malowania życia, jakiem ono jest, rozumienia go, odczucia. To też brak rzetelnych studjów ciała ludzkiego i jego poruszeń, jest wielkim błędem malarskiej palety Sie-

*

mianowskich, który się widzowi na każdym ich obrazie czuć daje.

Powiedzieliśmy wyżej, że malarstwo historyczne byłoby najwięcej odpowiedziało życzeniom Maksymiliana i mamy na to dowody w papierach po nim. Prócz akwarel zawartych w kasecie, a przeznaczonych testamentem Akademji Umiejętności, znaleźliśmy w stosie szkiców i studjów, trzynaście dużych szkiców i podmalówek do obrazów historycznych i historyczno-rodzajowych, które poleciliśmy przesłać także Akademji. Świadczą one wymownie najprzód o tem, że Maksymilian pojmował ważność i potrzebę obrazów historycznych, w czasie, gdy o nie w Polsce i Wiedniu tak było trudno; a następnie o tem, że Maksymilianowi brakowało wykształcenia technicznego do kompozycji tego rodzaju; że jest wielce nieporadny w grupowaniu i formalnym układzie scenerji; że postaci ludzkich poprawnie rysować nie umie. Mimo wysileń aby swoim szkicom dać życie, ruch, prawdę, Maksymilian odtworzył w nich teatralne sceny, które robią wrażenie paradowych defilad. Czuł Maksymiljan, że były to niedołężne próby, imienia jego niegodne i zostawił je niepokończonemi, na świadectwo, jak zwichnąć może zła szkoła, wielkie nawet talenta.

Bo że był to talent do historycznego malarstwa, świadczy z drugiej strony sześć wielkich kartonowych arkuszy, które znalazły się między jego pozostałościami, a które złożone razem, dają podmalowany szkic do wielkiego historycznego obrazu, przedstawiający: Obronę Wiednia przez Sobieskiego. Szkic ten kartonowy rozpoczął Maksymiljan w roku 1849, we Wiedniu, w czasie, gdy najwięcej obcował z przebywającymi tam rodakami, zwłaszcza z Wincentym Polem. Pod wrażeniem opowiadań poety o wojnie polskiej z r. 1831 powstał szkic ten w przelotnej chwili prawdziwie polskiego natchnienia, to też daleki on od konwencjonalizmu i bezduszności ówczesnej szkoły wiedeńskiej. Przedstawia centrum bitwy koło wezyrskiego namiotu; walkę prowadzoną z całą zajadłością ze strony Polaków, z wysiłkiem rozpaczy po stronie tureckiej. Walczący zbici w malownicze masy; cały chaos bitwy unaoczniony potężnie, konie i ludzie oddani z brawurą zadziwiającą; tak że szkic ten przypomina najlepszych malarzy bitew.

Ale szkic pozostał szkicem, bo Maksymilian przekonał się później, że koncepcja choćby najznakomitsza, nie wystarcza wobec braków rysunku i farby. A rysunek chroma bardzo w tym szkicu; przerysowania rąk, nóg, całych poruszeń koni i ludzi, są niekiedy krzyczące, pomimo widocznego starania o poprawność; co zaś do farby, uznał, że środki, jakie daje akwarelowe malarstwo, są niedostateczne do stworzenia tak wielkiego obrazu, a malować olejno nie śmiał, posiadając w tym rodzaju bardzo małą wprawę. Skończyło się więc i tym razem na zamiarze, który jednak — bądź co bądź świadczy, że już wówczas zaczynał się w pojedyńczych ludziach budzić do życia geniusz historycznego malarstwa polskiego, który obecnie rozwinął się tak potężnie w Matejce i dał nam — Bitwę grunwaldzką!...

Od zamiarów przejdźmy teraz do rezultatów i przypatrzmy się zakresowi, jaki z konieczności obrać musieli nasi artyści.

Wszyscy celniejsi malarze wiedeńscy, zwłaszcza ci, z którymi żyli i od których uczyli się Siemianowscy, poświęcali swój pędzel krajobrazowi, panoramom i prospektom architektonicznym, to też nasi artyści poszli wskazaną przez tamtych drogą i na niej do końca pozostali.

Wpływy szkoły wiedeńskiej w różny sposób objawiają się u braci, stosownie do różnicy ich charakterów osobistych. Franciszek był naturą cichą, cierpliwą, powolną, w której raz odebrane wrażenia, trwale pozostawały; Maksymiljan charakterem więcej ognistym, energicznym, który nie łatwo wpłynąć na siebie dawał wrażeniom i ludziom. Franciszek był zdolny zająć się jednem uczuciem, jednem wrażeniem, jednym przedmiotem czas bardzo długi; Maksymiljan przekładał rozmaitość i namiętnie szukał nowych wrażeń. Tą różnicą charakterów, tłómaczy się różnica ich artystycznej twórczości; tłómaczy się okoliczność, że po Franciszku zostało zaledwie kilka obrazów nie wykończonych; po Maksymilianie zaś kilkadziesiąt, nie rachując szkiców i projektów.

Różnicą charakterów tłómaczy się, dla czego obrazy Franciszka noszą na sobie cechę tego drobiazgowego, prawie miniaturowego wykończenia szczegółów, jakiem się odznaczało malarstwo wiedeńskie z przed 1840 roku; a obrazy Maksymiljana są od niego po największej części, wolne; co więcej, okazują taką samodzielność traktowania przedmiotów, jakiejby się nie należało spodziewać, po wychowańcu tej szkoły.

Ponieważ artyści nasi tylko wyjątkowo podpisywali swoje akwarele — częściej Franciszek jak Maksymilian — przeto trudno z całą stanowczością powiedzieć, do którego z nich należy ten lub ów obraz, tem więcej, że mimo różnic mają wiele pokrewnego w technice, jako uczniowie jednej i tej samej szkoły. W rozsądzeniu sprawy przynależności, pomaga nam ta różnica robót Franciszka od robót Maksymiliana, o której właśnie mówiliśmy, mianowicie drobiazgowość wykończenia jednego, a energiczne traktowanie drugiego, i idąc tą drogą nie wiele popełnimy omyłek.

W trzeciej części niniejszej pracy podajemy wykaz dzieł, zapisanych przez Maksymiliana Akademii Umiejętności, i do niego odwoływać się teraz będziemy, znacząc w nawiasach numera, o których mówić nam wypadnie; a ponieważ chcemy dać tylko ogólny pogląd na prace Siemianowskich, nie zaś wyczerpujące, szczegółowe studium, przeto rozbierzemy artystyczną ich twórczość na najcelniejszych tylko akwarelach.

Przedtem jeszcze jedna uwaga.

Dzieląc krajobrazy na właściwy krajobraz (pejzaż) i panoramę (krajobraz), wychodziliśmy z tej zasady, że krajobraz jest przedstawieniem pewnej małej przestrzeni kraju, stanowiącej zamkniętą artystycznie całość, bez względu na kontynuacją dalszej okolicy; pod panoramą rozumiemy krajobraz rozleglejszy, o większym horyzoncie i w którym chodzi nietylko o oddanie pewnej grupy, ale wszystkiego, co na danem miejscu przyczynia się do zwiększenia uroku i do unaocznienia wspaniałości natury.

Po tem wszystkiem możemy już powiedzieć, że Franciszek ze szczególnem zamiłowaniem tworzył widoki architektoniczne i krajobrazy, rzadko panoramy, a nigdy widoki morskie. Maksymilian przeciwnie. Architektury tylko wówczas, jak mu imponowały jako malownicze ruiny; za to rozkoszował się w widokach morskich, a pędzel swój poświęcał przeważnie krajobrazowi i panoramom, nie zaniedbując rodzajowego malarstwa.

Przegląd nasz zacznijmy od widoków morskich. Jest ich wykończonych 13, a wszystkie wyszły z ręki Maksymiliana i noszą na sobie cechę jego talentu — śmiałość koncepcji. Pomiędzy niemi odznacza się: *Widok okrętów i łodzi w zatoce genueńskiej* (1), *Latarnia morska w nocy* (6), *Okręta w Wenecji* (10), *Scena portowa w Specji* (11); a zwłaszcza: *Burza w czasie przeprawy z Capri do Neapolu* (5). Jest to epizod z podróży włoskiej naszych artystów i przedstawia łódź, wiozącą Siemianowskich z towarzyszami, w czasie rozpoczynającej się burzy morskiej. Capri zostawili daleko za sobą; wybrzeże Neapolu widnieje, bo zachodzące słońce schowało się za chmury, a tu o wątłą łódź rozbijają się bałwany wzburzonego morza i wiatr pędzi ją pełnemi żaglami. Groza chwili oddana bardzo dobitnie, a akcesorja kompozycyjne nadają obrazowi jeszcze więcej życia i wspaniałości. Tłem obrazu jest dalsza część morza i wybrzeże Neapolu; słońce przeświecające z za chmury, rzuca odbłyski do morza i pozwala widzieć całe mistrzostwo artysty, w uchwyceniu perspektywy powietrznej. — Morze wykonane z wielką znajomością tego żywiołu; traktowanie techniczne śmiałe; koloryt umiejętnie nasycony farbą, której rozprowadzenie, na drugim zwłaszcza planie, najwybredniejsze może zadowolić wymagania i każe zaliczyć tę akwarelę do rzeczy prawdziwie znakomitych. — W ogóle wszystkie widoki morskie odznaczają się wiernością w oddaniu natury morza, a efekta światlane wyzyskane na nich w sposób zdumiewający, że tu tylko napomkniemy o oświetleniu morza w nocy przez latarnię morską (6), i o świetle wieczornem padającem na rybaka suszącego sieci (2). Wykończenie techniczne tych kilkunastu widoków morskich, jakkolwiek bardzo staranne, nie ma w sobie wypieszczenia, znamionującego roboty Franciszka.

W dziale krajobrazów najtrudniej rozsądzić, które roboty należą do Franciszka, a które do Maksymiliana, bo jest to rodzaj zarówno przez obu lubiony i z równą wykonywany starannością, tak, że w nim najwięcej się zacierają różnice charakterów. Tutaj służą do rozpoznania artysty inne oznaki; mianowicie decyduje miejsce, z którego krajobraz zdejmowano. Wszystkie przeto krajobrazy, przedstawiające partje ze Styrji, Salzburgskiego i Tyrolu, pochodzą z ręki Maksymiliana, który w tych stronach dłuższy czas bawił, podczas gdy Franciszek nigdy tam nie przebywał. Z tej przyczyny Maksymiljanowi przypisujemy: Widok potoku leśnego Strub (15) — Potoku leśnego w kaskadach (16) — Jeziora wieczorem (17) — Widok jeziora Hallstadzkiego (18 i 37) — Jeziora Gründel (21) — Jeziora Gosen (22) — Jeziora Mord (23) — Połoninę alpejską (24) — Widok Zellu w Tyrolu (35) — Ehernthal (38) — Kuźnic i ługowni w Ischl (57 i 58). — Maksymiliana także ręką robione są widoki: Klasztoru pod Neapolem (14) — Brzegi Lago Maggiore (31 i 32) — Widok na ruiny w Pestum (39) — Ruiny w Kampanji rzymskiej (43), Widoki Etny (45 i 47) — Wezuwiusz wybuchający (51 i 52); a wnoszę to, bądź ze śmiałości pędzla, jaka przebija w obrazach, bądź z braku wykończenia drobiazgowego, jakiemu nigdy ten artysta nie hołdował.

Do robót Franciszka zaliczamy krajobrazy

przedstawiające: Brzegi Dunaju pod Stein (19) — Rzekę z kępami (20) — Zatokę z fortecą i ruinami (29) — Widok Wezuwiusza (30) — Widoki z nad Lago di Como (33 i 34) — Kaskady w Tivoli (40 i 42) — Ogród w Palermo (44) — Baja (46) — Kalwarję (49) — Ruiny w Segeste (50) — Wybrzeża z okolic Genui (54, 55, 56) — wreszcie galicyjskie Cerkiewki (59 i 60).

Z pomiędzy pejzaży Franciszka podnosimy jego *Kaskady w Tivoli* i twierdzimy, że ich wspaniałości i uroku nie oddał lepiej żaden późniejszy artysta; stają one przed nami w całym swym majestacie, całej piękności, pod bezchmurnem sklepieniem włoskiego nieba. — Dwie maleńkie akwarele, przedstawiające *Cerkiewki na Rusi,* przenoszą nas pod inne niebo, w inne stosunki, a zawiewa z nich taka prawda i swojskość, że od widoku tych skromnych pomników samorodnego budownictwa oderwać się trudno. Rysunek we wszystkich krajobrazach Franciszka bardzo poprawny. Uwaga ta nie odnosi się jednak do sztafażu z ludzi — jeśli on uzupełnia krajobraz — bo ten jest zawsze słabą stroną talentu obu naszych artystów.

Krajobrazy Maksymiliana w niczem nie ustępują pracom Franciszka, a kto wie czy ich pod pewnym względem nie przewyższają, bo chociaż nie we wszystkich jest ta staranność wykończenia, jaka cechuje pejzaże Franciszka, za to we wszystkich jest znacznie więcej ciepła i jakiejś dziwnej natury słonecznej. Dość popatrzeć na jego leśne potoki styryjskie i jeziora; na jego widoki włoskie, aby powiedzieć, że je stworzył prawdziwy artysta „z bożej łaski“. Gdyby nam nie dał nic więcej jak *Widok na ruiny w Pestum,* w którym czuje się cały skwar południowego nieba i majestatyczność starodawnych pomników, w ich wspaniałem otoczeniu, jużbyśmy go uznać musieli artystą; o ileż więcej na tę nazwę zasłuży, gdy się przypatrzymy *Potokowi wśród lasu* (15) — *Potokowi w kaskadach* (16) — *Potokowi w Ehernthal* (38) — *Widokowi Etny* (47) — które należą do najlepszych pejzaży, jakie wydało nasze polskie malarstwo.

W krajobrazach odznaczają się obaj bracia umiejętnem wybraniem przedmiotu; wiernością w oddaniu tegoż i nadaniem mu tego poetycznego tchnienia, bez którego, najlepiej pod względem techniki wykonany obraz, staje się bezdusznym i zimnym. Mówimy to o rzeczach, których ilość, w stosunku do ogólnej liczby pejzaży wykonanych przez Siemianowskich, jest bardzo znaczną, gdyż na 51 wykończonych akwarel można śmiało połowę do znakomitych zaliczyć.

Przechodzimy do panoram, których 37 znaleźliśmy wykończonych; z tej liczby przysądzamy Franciszkowi piętnaście, mianowicie panoramy: Berlina (68) — Pragi (67, 72, 75) — Crems (68) — Dürnstein (69) — Krakowa (70) — Cattaro (71, 76) — Spalato (73) — Raguzy (74, 77) — Wenecji (79) — Wybrzeża neapolitańskiego (91) — Neapolu (99) — resztę Maksymilianowi.

Z pomiędzy panoram Franciszka podnosimy panoramy: *Pragi* (67), *Wenecji* (79) i *Wybrzeża dalmackiego pod Cattaro* (71, 76), w których artysta stworzył dzieła pierwszorzędnej wartości. W nich rysunek, koloryt, perspektywa powietrzna, oświetlenie, atmosfera morza i gór, jednoczy się w całość tak skończoną, że do niej nic dodać, nic od niej ująć nie można, aby nie zepsuć harmonji. Wszystkie zresztą panoramy Franciszka wykonane są z wielkiem poczuciem sztuki i olbrzymią starannością.

W tym dziale współzawodniczy z bratem o lepsze Maksymilian, choć sposób jego malowania i wybór przedmiotów jest odmienny. W ołówku jego inne zacięcie, w pociągu pędzla brawura pewna siebie. Weźmy do rąk *panoramę z kampanji rzymskiej* (81) — *panoramy Palerma* (85 i 98) — *Wybrzeży neapolitańskich* (91 i 97) — *panoramę Capri* (87) — *Świątyni Junony w Agrygencie* (92), a zwłaszcza *panoramy z Castellamare* (86, 94, 95) i *Amalfi* (105), a przekonamy się, że Maksymilian rozumiał zadanie wielkiej sztuki; że pojmował gdzie w naturze szukać należy piękna; że je, wreszcie, umiał w obrazie po mistrzowsku utrwalić. Ziemię i niebo włoskie potrafił on odtworzyć z całą ułudą, a farby jego mają tyle gorąca, jakby się im ono udzieliło z błękitów italskich. — Nie ukrywamy — bo i na cóżby się to przydało — że między panoramami Maksymiliana są rzeczy bardzo małej wartości, prawie niegodne znaleść się w tece tego artysty, jak np. nr. 89, 90 i 93, ale nikną one wobec przeważnej liczby prac wielkiego dla sztuki naszej znaczenia.

Trudno zaiste rozsądzić, który z braci, w dziale panoram, jest znakomitszym artystą; to tylko z pewnością twierdzić można, że koloryt Maksymiliana ma w sobie więcej ciepła; że artysta ten umie używać z równą biegłością wszystkich farb; umie je nietylko użyć, ale zużytkować z korzyścią dla barwności obrazu, bez uchybienia prawdzie natury; czego znów nie potrafi Franciszek, u którego jeden kolor przeważa zwykle więcej nad drugie i daje obrazom cechę pewnej monotonji. Wady tej nabył artysta przy wykonywaniu innego rodzaju malarstwa, który całkiem nie wymagał bogactwa kolorytu, a któremu Franciszek z największem oddawał się zamiłowaniem.

Mówimy o malowaniu architektur; i na tem polu Maksymilian schodzi na drugi plan, bratu pozostawiając tryumfy.

Z 26 wykończonych akwarel wykonał artysta 20. — A jakich! — Oto *Kościół klasztorny w Altenburgu* (103), poważny zabytek ostrołukowego budownictwa, w całym swym wyniosłym majestacie przedstawiony w czasie zachodu słońca; oto *Katedra św. Wita w Pradze czeskiej* (105), wdzięcząca się do widza urokiem wzlotnych kształtów, bogato rozwiniętego ostrołuku Arlera; w blaskach słonecznych kąpiąca szczyty swych wieżyc; oto *Katedra w Cattaro* (104); wspaniały *przedsionek kościoła w Trau* (106); *Ruiny rzymskie w Spalato* (107); patrzymy na okazały *łuk tryumfalny Tytusa w Rzymie* (108), *Trajana w Ankonie* (123); podziwiamy olbrzymie *ruiny amfiteatru na Monte Cavo w Rzymie* (109); unosimy się nad *Panteonem* (112), *kolosami na Monte Cavallo* (111); wstępujemy *wewnątrz medjolańskiej katedry* (113); oglądamy różnostylowy, czarodziejski świat na weneckiej *Piazzecie* (114); wdzięczy się do nas maleńka *świątynia Westy w Tivoli* (115 i 122); dziwnie uroczyście przemawia do nas cisza *na pompejańskiem forum* (120); skłaniamy głowę przed wymową *ruin starego świata w Pestum* (120); a wreszcie ze starożytnym budowania sposobem godzi nas *Świątynia zgody w Agrygencie* (124).

Są to rzeczy, w obec których musi umilknąć krytyka. Wykonano je z takiem zamiłowaniem i zrozumieniem form architektonicznych; z taką ścisłością, wiernością, a zarazem poetycznem tchnieniem, że można je postawić obok pierwszorzędnych prac Steenwycka, Neefsa, van Bassena i naszego Gryglewskiego. Że to nie przesada, dość tylko spojrzeć na *wnętrze medjolańskiej katedry* (113), na *katedrę pragską* (105), na *świątynię Westy* (115), na *łuk Trajana* (123).

Maksymilian ani mierzyć się może z bratem w tym rodzaju malarstwa i jeden chyba: *Babiniec salzburskiego kościoła* (102), zbliża się w części do dzieł Franciszka; inne architektury Maksymiliana nie są niemi nawet właściwie. W architekturach nie chodzi mu o wierność w oddaniu zabytku budownictwa — co przecież jest głównem zadaniem tego rodzaju malarstwa — ale o malowniczość zabytku w stosunku do otoczenia i stanu, w jakim się znajduje. W ogóle bierze on przedmiot architektoniczny za pretekst do stworzenia krajobrazu. Przekonywa nas o tem: *Widok ruin w Selinuncie* (110), rzecz genjalnie pojęta i wykonana jako krajobraz, nie jako architektura; przekonywa dalej: *Widok ruin teatru w Taorminie* (117), zdjęty od amfiteatru ku proscenium; *Widok ruin amfiteatru w Pompei* (118). Jako architektury, są te akwarelle bez wielkiej wartości; zaliczone do krajobrazów, mistrzowskiemi mogą być nazwane. *Boża męka pod Hainburgiem* (125) jakkolwiek pod względem wiernego oddania form budowniczych, jest świetnie wykonana, także do architektur nie może być policzoną, bo równorzędnego znaczenia sztafaż, każe ten obraz wcielić do rodzajowych akwarel.

W dziale rodzajowego malarstwa, wykonali bracia 15. wykończonych akwarel, między któremi zaledwie trzy lub cztery na wyróżnienie zasługują, a w większej części są to rzeczy nieudałe, niezdarne. Do najlepszych należy: *Szarża huzarów austrjackich pod Jasłem* (130), *Pochód kozaków wieczorem* (132) i *Trzech mnichów włoskich, modlących się pod drzewami ogrodu* (135). Są to, bez żadnej wątpliwości, prace Maksymiliana i świadczą, że ten człowiek miał niektóre chwile szczęśliwe i nawet znośny obraz rodzajowy stworzyć potrafił. *Pochód kozaków* najlepszym na to dowodem. Nie tylko że w nim ustrzegł się malarz, zwykłych u niego przerysowań figuralnych i nieporadności w grupowaniu, ale nadto stworzył go z prawdą i werwą nieposlednią; oświetlenie zaś grup jadących kozaków, przez zachodzące słońce, jest w nim nietylko prawdziwe, ale nawet bardzo efektowne. *Modlący się mnisi* są małem artystycznem cackiem, nie wiele odbiegającem od najlepszych prac Maksymiliana.

Pięć kopji akwarelowych z obrazów różnych artystów, odznacza się wiernością, ale tylko o jednej, krajobrazie z Gauermanna, możemy twierdzić stanowczo, że ją wykonał Maksymilian. Zanadto ona w traktowaniu jest pokrewną pejzażom styryjskim tego artysty, aby można wątpić, z pod czyjej ręki wyszła. Pytanie, który z braci wykonał cztery inne kopje, pozostawiamy rozstrzygnięciu późniejszych krytyków, my nie mamy dowodów ani za ani przeciw.

Teraz należy zestawić rezultat naszych poszukiwań i w krótkich słowach zcharakteryzować artystyczną twórczość obu braci.

Franciszek Siemianowski, to przedewszystkiem malarz architektur i w tym rodzaju tworzący dzieła wielkiej, pierwszorzędnej wartości. Próbuje obok tego swoich sił w dziale pejzaży

i panoram; w pierwszych okazuje wiele poczucia piękna i staranności, ale nie umie w nie tchnąć — z małym wyjątkiem — tej poezji i ciepła, jakie pejzaż mieć powinien; w drugich stwarza rzeczy znakomite, ale nie umie nadać im tej ekspresji kolorytu, jaka jest potrzebna do wywołania doraźnego malarskiego efektu. — W rodzajowem malarstwie próbuje wprawdzie sił, ale mu się ani jeden obraz nie udaje. Gdyby nic innego nie stworzył, prócz kilkunastu prospektów architektonicznych, o których w ciągu naszej monografji mówić mieliśmy sposobność, jużby go trzeba zaliczyć do znakomitych akwarelistów i w gronie polskich malarzy architektur, postawić obok Gryglewskiego.

Maksymilian Siemianowski, mimo że się rzuca do wszystkich działów malarstwa, jest jednak głównie pejzażystą i czy tworzy widok morski, czy architekturę, czy rodzajowy obrazek, zdradza zawsze i wszędzie malarza krajobrazów. W każdym dziale tworzy więcej lub mniej udatne rzeczy, ale znakomite, wykonywa tylko w krajobrazie i panoramie. W pejzaż umie tchnąć życie, nadać mu piętno i urok poezji, wlać ciepło i temi przymiotami góruje nad Franciszkiem. W panoramach Maksymiliana znajdujemy obok prawdy w odtworzeniu natury, obok poprawności, a niekiedy nawet mistrzowstwa rysunku, świetny koloryt i tę harmonijną rozmaitość barw, jakiej brakuje panoramom Franciszka. Pejzaże i panoramy Maksymiliana zapewniają mu bardzo poczestne miejsce między polskimi malarzami krajobrazów, zwłaszcza między akwarelistami.

Nazwisko Siemianowskich jako malarzy pojawia się na kartach dziejów sztuki polskiej po raz pierwszy, ale mamy nadzieję i przekonanie, że nie po raz ostatni. Dotąd były dzieła ich ogółowi nieznane, już jutro może być inaczej, jeżeli poczujemy się do obowiązku zobaczenia ich prac artystycznych, prac, które oni jako najlepszą po sobie spuściznę, pierwszej w Polsce zapisali Akademji. — Rozbudzone u naszego ogółu zamiłowanie ojczystej sztuki, każe nam się spodziewać, że skromny nasz głos nie przebrzmi bez echa, ale oddźwięczy w umysłach.

Na koniec jedna wieść, czy przypuszczenie.

Oglądając obrazy przeznaczone dla Akademji, nasuwała nam się uporczywie myśl, że to nie mogą być wszystkie dzieła Siemianowskich, że gdzieś więcej znaleść się musi. Myśl tę zrodziły przerwy w datowaniu obrazów. Po akwarelach z roku 1840, następują zaraz obrazy z r. 1844, różniące się od tamtych, co do technicznego wykonania, bardzo znacznie. Ponieważ postępy techniki nie są stopniowe, wnioskowaliśmy więc, że obrazy z r. 1841, 1842 i 1843 gdzieś się zapodzieć musiały. Z Włoch przywieźli artyści daleko więcej obrazów, niż ich się znalazło w kassecie; brakuje zdjęć bardzo ważnych budowli, o których z notatek Maksymiljana wiemy z pewnością, że istniały. Franciszek wykonał w Rzymie widok Forum romanum, Kolloseum, Fontanny Trevi, kościoła św. Piotra; w Amalfi katedry; w Medjolanie Porta romana; w Neapolu widok Posilippo; w Certosie pod Pawją widok frontu kościoła; w Wenecji pałacy Ca Doro, Dario, Loredan, a obrazów tych nie ma. Wiemy dalej, że Maksymilian zaprzestał malować dopiero w r. 1858, i od roku 1852, tj. od czasu ostatniego zadatowania obrazów jakie się znalazły, musiał stworzyć wiele dzieł znakomitych, boć wówczas siły jego artystyczne były w największym rozwoju, a Franciszek pewnie także nie próżnował.

Jakże sobie więc wytłómaczyć te braki wielu dzieł rzeczywiście wykonanych? Albo trzeba przypuścić, że Maksymilian rozdarował między licznych znajomych w kraju i zagranicą, wiele swoich i brata obrazów, albo uwierzyć pogłosce, jaką powtarzają uporczywie osoby, znające bliżej osobiste stosunki Maksymiljana, że w roku 1860, za bytnością swoją w Wiedniu, sprzedał duży zbiór akwarel, zawarty w kasecie podobnej do tej, jaką od niego otrzymała Akademja na mocy testamentu — Anglikom, i to za summę 10,000 reńskich.... Si non e vero, e ben trovato!... W każdym razie sprawa ta wymaga zastanowienia i wyjaśnienia, którem się może zajmą ci, którzy po nas o Siemianowskich pisać i dzieła ich badać będą.

AMERYKAŃSCY

KRÓLOWIE KOLEJOWI I ICH PAŃSTWA.

Nieodgadnioną tajemnicą pozostanie na zawsze dla cudzoziemca życie tej części nowojorskiego świata handlowego, który w godzinach pomiędzy południem a czwartą, z nienaturalną gorączką przebiega wąską Wallstreet i sąsiednie uliczki. Giełda w Nowym Yorku nie koncentruje się, jak w innych wielkich miastach, w pewnym punkcie, ale rozciąga się na całej przestrzeni jednej z dzielnic, a na uderzenia jej pulsu, raz gorączkowo-nerwowego, to znowu śmiertelnie omdlałego, oczekują z przytłumionym oddechem dwie hemisfery.

Jeżeli z rogu Wall i Nassaustreet, stojąc na ciężkich okazałych schodach prowadzących do urzędu menniczego, spojrzymy na tłum falujący niby bałwany morza, o którego zdradzieckie skały rozbił się i marnie zatonął już nie jeden wspaniały, bogaty, pełen najświetniejszych nadziei statek, wtenczas serce nasze ogarnia przestrach i trwoga, widząc to nieustanne polowanie na wszechwładny dolar, wśród którego legł już nie jeden gruby zwierz. Tłum ten biegnie w dół Pearlstreet ku giełdzie bawełnianej; w Frout i Waterstreet obija się o piętrzące się jak domy paki bawełny, aby się dostać do giełdy kolonialnej; napełnia dalej Broadway i Whitehallstreet dążąc ku giełdzie produktów rolnych, aż nareszcie w Nassau, Wall i Broadstreet potyka się, przeskakuje i popycha, aby się czemprędzej dostać do serca tego złotego cielca, — do giełdy złota i papierów.

Od czasu kiedy obok „Gold and Stock Exchange“ zjawiła się rywalizująca z niemi „Mining Exchange“, która spekulowała na nieodkryte dotąd kopalnie; od czasu kiedy w tej dzielnicy pojawiały się codziennie nowe towarzystwa z kapitałem zakładowym od 100,000 do 10 miljonów dolarów, a których bogate kobierce, zbytkowne meble i złote zwierciadła opłacały kieszenie naiwnych akcjonarjuszów, którym się zdawało, że w Colorado i Newada każda piędź ziemi przesycona jest złotem i srebrem; od czasu wreszcie gdy do tego doszło, że nawet żony arystokratów pieniężnych zastawiały swoje brylanty, aby spekulować w Mining-Stock akcjach, a tem samem rzuciły się także w kipiący wir tego hazardu — odtąd przedstawia Wallstreet i sąsiednie ulice obraz godny Hogartha. A wśród tej szalonej gonitwy, stoją stare, niczem niezachwiane firmy bankowe reprezentujące miliardy, jak owe, na wzburzonem morzu, niewzruszone opoki. Na przestrzeni, którą w dwie minuty przebyć można, a którą oko spostrzegacza stojącego na schodach urzędu menniczego jednym rzutem ogarnia, znajdują się takie firmy jak: Belmont, agent Rotszyldów, von Drexel, Morgan and Comp., de Morton, Blissand Comp., spólnicy amsterdamskiej firmy Hope; stara firma braci Brown; Seligmann, Speyer and Com. i wiele pierwszorzędnych nazwisk znanych całemu światu handlowemu. Tu jest arena nowojorskiej giełdy. Nie przeczę, że żywioły, które tutaj napływają, są po większej części takie same jak w innych stolicach — w jednym jednak względzie różnią się od swoich finansowych kolegów, bo pojmują niebezpieczeństwo ryzyka, które ich zmusza do codziennego tańca na wulkanie i są w każdej chwili przygotowani na wybuch miny, której lont z taką zdradziecką zręcznością umieją podpalać giełdowi matadorzy, że wyrzuceni w powietrze gracze, wtenczas dopiero przychodzą do opamiętania, kiedy już są w przepaści. Z tych powodów giełda amerykańska w nic nie wierzy, tylko w fakta dokonane. Ostatnie wstrząśnienia potwierdziły tę prawdę i dosięgły nieprzygotowaną na wybuch giełdę pieniężną. Były ważne fakta następujące po sobie, które zdawały się wybuch ten przepowiadać.

Posłuchajmy je. Vanderbilt, prezes jednego z największych i najbogatszych towarzystw kolejowych amerykańskich, oddaje syndykatowi akcje tego towarzystwa, które w większej części były w jego posiadaniu, zamieniając gotówkę ze sprzedaży tychże, wynoszącą przeszło 100 milionów dolarów, na bony bankowe. Thomas A. Scott, prezes kolei centralnej pensylwańskiej, który niedawno jeszcze starał się usilnie o rządowe subsydja dla kolei Texas-Pacific, składa naraz godność prezesa i dyrektora swej kolei — motywując ustąpienie niby złym stanem zdrowia — i oświadcza akcjonarjuszom, że pragnie ustąpić zupełnie z pola dotychczasowej działalności. W tym samym czasie udaje się Mr. Vanderbilt w podróż po Europie W kilka dni później, na wszystkich punktach nowojorskiej giełdy, następuje gwałtowny krach. Spółka filadelfijskiej Reading-Railroad zawiesza swoje wypłaty — wszystkie akcje kolejowe spadają z piorunującą szybkością, przypominająca smutne dni paniki r. 1873; wczorajszy Krezus — dziś zostaje żebrakiem. A teraz, kiedy klęska ta stała się faktem nieodwołalnym, słusznie dowodzą na giełdzie newjorskiej, że cofnięcie się dwóch takich osobistości, jak Vanderbilt i Scott, było dostatecznym dowodem, że zaufanie do akcji kolejowych powinno być zachwiane w Ameryce, bo właśnie oni dwaj byli najmożniejsi i zajmowali najpierwsze stanowisko między królami kolejowymi.

Wszyscy „Railroad Kings,“ jak ich pospolicie nazywają, używają wielkich wpływów w politycznych kołach stanów i okręgów do których należą. Był czas, w którym prawie wyłącznie kontrolowali prawodawstwo narodowe, a to za pomocą przekupionej i na ich żołdzie będącej tak zwanej „Lobby“ kongresowej — rzeszy skła-

dającej się z polityków na własną rękę, dygnitarzy usuniętych z urzędu, spiskujących i intrygujących kobiet, dziennikarzy i korespondentów, agitatorów i rozmaitego rodzaju spekulantów. Ta „Lobby“ była najformalniej zorganizowaną i zgromadzała w ważnych wypadkach zastępy swoje jak wódz armię i rozciągała nici pajęcze aż do salonów możnych i buduarów modnych piękności. Udawało jej się nieraz przegłosować bil, pomimo najsilniejszej opozycji w kongresie. Z tej to właśnie kongregacji wybierali królowie kolejowi swoich głównych pomocników, jeżeli pragnęli otrzymać od rządu wielkie gwarancje, subsydja albo darowizny większych obszarów ziemi. Żądano od nich dyskrecji, milczenia, czujnosci, udanej obojętności, odwagi i energji w stanowczej chwili, a przymioty takie wynagradzano z hojnością księcia, a nawet więcej, bo hojnością króla kolejowego. Dlatego to, choć przeciwko tej rzeszy opierali się zacniejsi członkowie kongresu, zwycięstwo zostawało zawsze po stronie władzców szyn, którzy każdego roku obladowani bogatą zdobyczą, z tryumfem opuszczali stolicę. Tak jawną była frymarka głosami i przedajność członków kongresu, że słynny Jay Gould, współtowarzysz wątpliwych spekulacyj James'a Fisk'a, kiedy go pewnego razu proszono, aby za dosyć wysoką sumę zechciał się zająć wyborem kogoś z przychylnych kolejom na członka kongresu, odpowiedział z zimnym cynizmem: „Taniej przekupić cały kongres, niż wybrać tego jednego.“

Na obronę Vanderbilta, najbogatszego z pomiędzy nich, można powiedzieć, że o ile mógł, wystrzegał się intryg politycznych. Zresztą nie potrzebował stąpać po tych śliskich ścieżkach, ojciec jego bowiem utorował mu już drogę do wielkich wpływów przez wybudowanie owego olbrzymiego dworca i otaczających go rozlicznych budynków, zajmujących w górze Nowego-Yorku dwie mile angielskie obszaru, a tem samem połączył pod jednym dachem koleje New-York Central and Hudson River i Harlam and New-Haven.

Stary kommodor, który, jak wiadomo, w bardzo późnej starości powtórnie wszedł w związki małżeńskie, wiedział dobrze co czyni, oddając cały swój majątek wraz z ogromnemi posiadłościami kolejowemi, młodszemu synowi Williamowi H. Vanderbilt. „Billy,“ jak go zwykł był nazywać stary ojciec, odziedziczył po nim jego spokojny temperament, siłę woli i stanowczość. Nie tylko że umiał, do chwili oddania akcyj swoich syndykatowi, utrzymać w całości własne koleje, ale zdołał również, przez mistrzowskie operacje, pozyskać prawo kontroli nad wszystkiemi połączonemi kolejami Nowej Anglji, Kanady, zachodniej i północnej Ameryki, które chcąc nie chcąc były od niego zależne. Przytem trzymał się zawsze tej zasady, że jeżeli jakiś przeciwnik wydawał mu się za silny, robił z niego sprzymierzeńca i dzielił się z nim korzyścią zwycięstwa. Vanderbilt nie jest ani chciwym ani szczodrym, w ścisłem znaczeniu tego słowa. Zwykle idzie zawsze za popędem pierwszego wrażenia i kieruje się instynktem. Podczas gdy się tworzyło towarzystwo propagujące budowę nowej opery, zaproszono go aby przyjął stanowisko dyrektora komitetu. Było to wieczorem po herbacie, gdy w swoim wspaniałym pałacu przyjmował członków komitetu. „Moi panowie— rzekł — jestem tak mało muzykalny, że nierozróżnię piosenki Yankee-doodle od uwertury z Tanhausera,“ i mówiąc to wskazał na przyboczny pokój, gdzie syn jego brzdąkał na murzyńskiej gitarze zwanej banjo; „ale — dodał — podpiszę z chęcią 100,000 dolarów!“ Gdy khedyw egipski darował Nowemu-Yorkowi starożytny obelisk, nie wiedziano zkąd wziąć pieniędzy na opłacenie kosztów transportu. Vanderbilt dowiedziawszy się o tem, posłał komitetowi czek na całą sumę 75,000 dolarów, prosząc aby nazwisko jego nie było wymienione. Dom bankowy w Kairze, który nie wiedział o tem zastrzeżeniu, pierwszy zdradził jego incognito. Wyjawieniem tej tajemnicy Vanderbilt nie wiele się zajmował, jest mu bowiem rzeczą obojętną co świat o nim myśli i jak czynności jego sądzi, za które on sam tylko odpowiada; ale z drugiej strony znowu, nie chce wstydzić się swoich postępków i pragnie być zawsze z siebie zadowolony. Gdy przed kilkoma tygodniami, podczas bazaru dobroczynności, który urządzono w wielkiej szopie kolejowej przebudowanej na hypodrom i salę koncertową, zawaliła się jedna ściana, rzekł do swoich architektów, którzy zajmując się tą budową, chcieli wszelką odpowiedzialność za nieszczęśliwy ten wypadek wziąć na siebie: „Co jest własnością Vanderbiltów, za to odpowiadają Vanderbiltowie,“ i dał równocześnie swemu notarjuszowi polecenie, aby wszelkie pretensje poszkodowanych w zupełności zaspokoił. W najwyższem towarzystwie Nowego-Yorku, które mu swoje salony otworzyło nie z powodu wielkich bogactw, ale że pochodzi ze starego rodu Knikerbokerów, rzadko się pokazuje. Każdą wolną chwilę, która mu pozostaje od obowiązków rodzinnych — jest wzorowym mężem i ojcem — poświęca sportowi, a w stajniach swoich posiada konie najszlachetniejszej rasy. Prawie w każde pogodne popołudnie, można go widzieć na koźle swego lekkiego buggy pędzącego z szybkością tamującą oddech przechodniów, po ślicznych północnych bulwarach Nowego Yorku. Silna i krępa postać; w zimie otulony bogatem futrem, w lecie okryty płaszczem z indyjskiego jedwabiu chroniącym od kurzu, wysoki kapelusz na głowie, gęste włosy i angielskie faworyty przyprószone siwizną; twarz jakby wykuta z kamienia, ręka żylasta kierująca wprawnie lejcami — takim go codziennie widzi i podziwia tłum. Rzadko jest uśmiechnięty, a gniewny albo wzruszony — nigdy. Prostota granicząca z rubasznością charakteryzuje całą jego istotę; ubiera się czarno, nie nosi w gorsie spinek brylantowych ani pierścionków na palcach, przy kamizelce zawieszoną ma prostą wstążkę czarną zamiast łańcuszka. Czy w Ameryce kiedykolwiek zjawi się jeszcze człowiek, któryby posiadał tak olbrzymie obszary kolejowe pod swoją władzą, zarządem i kontrolą, o tem wątpić należy, zwłaszcza, że z nim jednocześnie opuścił pole działalności jedyny jego konkurent pułkownik Thomas A. Scott, prezes kolei centralnej pensylwańskiej, którego władza i wpływy po panu Vanderbilt były największe.

Był czas w którym colonel Scott (był pułkownikiem zformowanego własnym kosztem pułku ochotników, a później sekretarzem ministra wojny Stantona) jako prezes stał na czele 32 towarzystw kolejowych, które wszystkie zależne były od kolei centralnej pensylwańskiej i jako taki pobierał przeszło 180,000 dolarów rocznej pensji. W kontraście do swojego kolegi Vanderbilta, który bogactwa odziedziczył po przodkach, musiał Scott własną siłą pozyskać to co posiadał. Rozpoczął swoją karjerę od prostego żołnierza, a zakończył ją jako milioner. Scott nie przebierał w środkach korzystnych dla siebie i swoich kolei. Znał on aż nadto dobrze korupcję prawodawczą, kasy jego wyrzucały setki tysięcy, które w Waszyngtonie, Harrisburgu i Trentonie w kieszeniach przekupionej „Lobby“ tonęły. W spółce z towarzystwem „Standart Oil Company“ stworzył ów, dla mieszkańców okolic oliwnych tak zgubny monopol naftowy, który dopiero niedawno, skutkiem wyroku najwyższego sądu, częściowo zniesiony został. Można go było widzieć bardzo często biegającego z jednego bióra sądowego do drugiego. Był to człowiek niezmordowanie czynny, gorączkowego temperamentu, wiecznie coś „wietrzący;“ na jego wyrazistej twarzy, ozdobionej foremnym nosem, błyszczały stalowo niebieskie oczy, których wzrok, rozmawiających z nim przenikał do głębi.

„Tom“ Scott posiadał mistrzowski dar przekonywania; kto go słuchał, stawał się jego zdobyczą. Surowość jego względem urzędników kolejowych przeszła w przysłowie; piorunował tam gdzie spostrzegł najmniejsze zaniedbanie lub nieposłuszeństwo. Do niedawna jeszcze ufał zupełnie swoim konduktorom, zwłaszcza ich uczciwości, bo mu się zdawało, że zna z gruntu ludzką naturę. Zdarzyło się jednak, że pewnego dnia, bawiąc w Nowym Yorku, spostrzegł w wystawie wielkiego sklepu jubilerskiego, pyszny chronometr. Wstąpił do sklepu, obejrzał go i zapytał o cenę. „Tylko 1500 dolarów — odrzekł jubiler, który go nie znał — jest to prześliczny okaz, ręczę, że w ciągu roku nie opóźni się o dwie minuty“. „Nie ma co mówić, śliczny, ale za drogi dla mnie — odpowiedział król kolejowy. „Jeżeli jednak tak doskonale idzie...“ „Zaręczam ci sir, mówię to na pewnej podstawie; konduktor kolei centralnej nosi taki sam i zaręczał mi, że zegar obserwatorjum w Waszyngtonie nie idzie punktualniej!“ Opowiadają, że mr. Scott dowiedziawszy się, że „uczciwi“ konduktorzy jego kolei, kupują zegarki, które dla niego, prezesa, są za drogie, klął jak opętany. Powrócił natychmiast do Filadelfji i rozpoczął egzaminowanie konduktorów, każdego z osobna, a w niespełna godzinę doszedł do przekonania, że wszyscy, bez wyjątku, są złodziejami. Prawie wszyscy byli właścicielami większych posiadłości, grali na giełdzie i żyli wystawnie. Wypędził ich natychmiast, nowych poubierał w mundury, w których nie było kieszeni i dodał im zamknięte skórzane puszki, do których wrzucać mieli kupony biletów (przez poprzedników sprzedawane po raz drugi), jak równie pieniądze wpływające podczas jazdy. Oprócz tego ustanowił przy każdym pociągu kontrolera, który obowiązany był doglądać surowo wycinania kuponów biletowych i inkasowania gotówki.

Prawdopodobnie teraz, po usunięciu się Scotta, ów najniepopularniejszy, najniesumienniejszy, ale przytem najryzykowniejszy pomiędzy królami kolejowemi Jay Gould, potrafi się wcisnąć do dyrektorjatu kolei pensylwańskiej. Opinja publiczna już dawno potępiła tego człowieka bez czci i wiary, który wtenczas dopiero decyduje się rozłączyć z cząstką łapczywie zebranych bogactw, jeżeli potrzebuje przekupić sędziego, ubez-

władnić zdradą przeciwnika lub inną jaką infamię popełnić. Upadek tego, na nieroztropne muchy w swej sieci czyhającego pająka, wywołałby radość nie tylko na giełdzie i w świecie handlowym, ale nawet w obojętnej publiczności. Ten niezdolny do szlachetniejszych popędów, głuchy na nędzę bliźnich człowiek, raz tylko do łez był wzruszony, wtenczas kiedy mu przy grabieży kolei erieńskiej, 9 milionów dolarów, które już zagarnął, napowrót zwrócić kazano. Dlatego próbuje jeszcze teraz podstępnie obniżać akcje kolei erieńskiej, a upadek jej byłby mu się niezawodnie powiódł, gdyby na czele tego przedsiębiorstwa nie stał prawdziwy król kolejowy, w ostatnich czasach często wspominany Hugh J. Jewett. demokratyczny kandydat do prezydentury Stanów Zjednoczonych.

Kolej erieńska bliską była bankructwa, gdy komitet, złożony z akcjonarjuszów, zaprosił Jewetta, pełniącego wówczas obowiązki naczelnika jednej z kolei w Ohio, aby stanął jako opiekun ogólnej masy, na czele jej administracji. Zaledwie trzy tygodnie spoczywał ciężar obowiązku na barkach tego męża żelaznej woli, a już jego geniusz administracyjny zwalczył nawał pracy i zaprowadził porządek w tym chaosie. Pod jego zwierzchnictwem zorganizowany został nowy, poważniejszy dyrektorjat, prawie bezwartościowe akcje powróciły do pierwotnego kursu, a dzięki kompromisowi z Vanderbiltem, który położył koniec zgubnej konkurencji w cenie jazdy i frachtów, kolej wróciła do dawnego znaczenia i dochodów, Jewett zaś stanął w pierwszym rzędzie królów kolejowych. Powierzchowność tego człowieka każe na pierwszy rzut oka odgadywać niepospolite zdolności. Głowa iście napoleońska spoczywa nn silnych barkach (podobieństwo z pierwszym Napoleonem jest rzeczywiście uderzające), postawa żylasta i muskularna, każde poruszenie silne i pewne. Tylko duchowi, mieszkającemu w takiem ciele, możebnem było zwalczyć tytaniczną pracę, konieczną do reorganizacj bankrutującej kolei.

Opowiadają z tych czasów charakterystyczny fakt, który dosadnie ilustruje wytrwałość, energię i niepospolite zdolności Jewetta. Gdy proces, prowadzony w imieniu akcjonarjuszów angielskich przeciw kolei erieńskiej przez Jamesa Mc Henry, zmarłego przed kilkoma miesiącami zbankrutowanego milionera, już był w ostatniem stadjum, a wrazie pomyślnego dla Jewetta wyroku, reorganizacji kolei nic już nie stało na drodze, na dzień przed ostateczną rozprawą otrzymał poufną wiadomość, że adwokat, broniący jego sprawy, przez przeciwników przekupiony, posranowił zaproponować porozumienie stron. W dniu tym załatwił, jak żwykle, interesa biurowe, wieczorem pojechał z sekretarzem do prywatnego swego mieszkania, gdzie się już znajdowały kopie aktów przebiegu całego procesu, studjował je z natężeniem przez całą noc, a nazajutrz rano, strona przeciwna ujrzała go, z przykrem zdumieniem, zjawiającego się w sądzie, w celu bronienia osobiście swej sprawy. Ponieważ był przed karjerą kolejową długi czas adwokatem, zwalczył z nadzwyczajną łatwością techniczne trudności i po wygłoszeniu znakomitej mowy, wygrał sprawę w ostatniej instancji.

Z tymi trzema władcami Wschodu, Vanderbiltem, Scottem i Jewettem, tworzą interesujący kontrast trzej królowie kolejowi krainy złota: Leland Stanford, Collis Huntington i Sidnej Dillon. Są oni matadorami kolei centralnej kalifornijskiej, łączącej się z południową pacyfikalną, której akcje niedawno zrobiły tak wielkie fiasco na giełdach europejskich. W tej trzechosobowej grupie zachodnich pionierów, przedstawia się wierny obraz pracy, która w tej złotodajnej części Ameryki tak bujne wydaje owoce. Wszyscy trzej wznieśli się z prostych robotników kolejowych na dzisiejsze świetne stanowisko. Jeszcze dzisiaj świadczy ich powierzchowność, że kiedyś w pocie czoła pracowali na chleb powszedni: Stanford i Huntington mają rubaszne, kwadratowe postacie, niezgrabne ruchy, szerokie dłonie i gburowaty głos. Pomimo tego odznaczyli się zaszczytnie tem, że sztukę, a mianowicie malarstwo najusilniej protegują. Obaj są właścicielami wspaniałych galeryj i wyrobili w sobie zadziwiający smak i subtelny sąd w ocenianiu obrazów. Co więcej, wznieśli się po nad przesąd kupowania arcydzieł samych tylko sławnych mistrzów, chociaż to nie przeszkadza, że Stanford słynnemu pejzażyście, Albertowi Bierstadt, 30,000 dolarów za jeden obraz zapłacił. Pewnemu biednemu młodemu malarzowi niemieckiemu udało się w przepysznym pałacu Stanforda otrzymać audjencję. Przyniósł z sobą z cyklu legendy o Fauście, pierwszy z sześciu obrazów przedstawiający „Scenę w pracowni“ i zaprezentował ją Krezusowi. Stanford nie mógł odrazu zrozumieć przedmiotu. „Faust, Faust? — mruczał pod nosem — I never heard of such a man! (Nie słyszałem nigdy o takim człowieku!) Któż to jest? Czem on był? Ach tak, poemat dramatyczny Goethego? Dobrze, bardzo dobrze, wybornie! Wykończ młodzieńcze twoje sześć obrazów — ale cena jest zbyt niska względnie do takiej pracy! Pozostaw mi zaraz pierwszy obraz, każę mu zrobić miejsce w mojej galerji, a po ukończeniu każdego nowego obrazu, odbierzesz z kasy mojej 1000 dolarów!“ Uszczęśliwiony malarz chciał protestować przeciw temu książęcemu darowi, ale Stanford, zanotowawszy sobie adres, dobrodusznie popchnął go ku drzwiom i przysyłał mu w przyszłości korzystne zamówienia swoich bogatych przyjaciół.

Równie prosty w swojem obejściu jak wyżej wspomnieni Kalifornijczycy, ale wytrawniejszy we wszystkich wybiegach i podstępach jest słynny, podczas ostatniej nieudanej kandydatury Tildena na prezydenta Stanów często wspominany magnat kolejowy, William H. Barnum. Pochodzi on wprawdzie z Connecticut, gdzie w nieurodzajnej okolicy Linie Sock odziedziczył po przodkach swoje „homesteadi“ ale kolosalne jego posiadłości kolejowe leżą w Mitchigan i są w bezpośredniem połączeniu z wielkiemi kopalniami żelaza i miedzi nad Lake Superior. Tak w interesach materjalnych jak politycznych, podziela w zupełności zdanie swego przyjaciela Tildena, że za pieniądze wszystkiego nabyć można. On to chciał zapłacić za Tildena pewnemu elektorowi w Nebrasce za jeden głos 30,000 dolarów i on również wysłał ową znaną depeszę do prezesa narodowo-demokratycznego koła, w której donosił, że „można z pewnością liczyć na 100,000 mułów (miało znaczyć dolarów), jeśli się wszystko dobrze zakończy“.

W Waszyngtonie, gdzie ten król kolejowy jako senator Stanów Zjednoczonych najczęściej przebywa (godność, którą otwartem przekupstwem legislatury w Conecticut zdobył), uważają go za niebezpiecznego sprzymierzeńca Lobby, który w kieszeni od kamizelki, szczelnie zapiętej szpilkami, zwykł nosić ośm do dziesięciu tysięcy dolarów, aby w chwili stanowczej mieć najskuteczniej przekonywający „argument“ pod ręką.

Obok niego stał Aleksander Mitchell, emigrant szkocki, uczciwy obywatel Milwaukee, niemiecko-amerykańskich Aten, który jako prezes St. Paul Railroad i jej odnóg, wielki zebrał majątek.

Daleko więcej jednak zajmują osobistości królów kolejowych, zamieszkałych w Stanach Nowej Anglii, którzy na Zachodzie bardzo wiele zyskownych pobudowali kolei i są zarazem właścicielami olbrzymio opłacającej się Chicago-Burlington-Quincy Railroad. Na jej czele stoi John M. Forbes, do tego stopnia znany w całej Nowej Anglii, że powieściopisarze amerykańscy niejednokrotnie portretowali go w swych nowelach. Jeżeli cudzoziemiec spotka na ulicach Bostonu człowieka, którego każdy wita, w krótkim jasno-granatowym płaszczu, w podniszczonym, głęboko na czoło nasuniętym szapoklaku, z pod którego wygląda na boży świat ogromnych rozmiarów czerwony nos, może być pewny, że to John Forbes. Rezydencja jego leży na wyspie Naushon, w zatoce Tauron; kupił on ją na własność i z tego powodu nie odmówiono mu tytułu gubernatora tejże. Stworzył sobie na niej prawdziwe państwo, w którem jest samowładnym panem i gdzie przyjmuje odwiedziny z wszystkich stron Stanów Zjednoczonych, podejmując gości swoich z prawdziwie książęcym przepychem. Dziwna rzecz, że on, purytański syn Nowej Anglii, jest ateistą czystej krwi, chełpiącym się, że od chwili chrztu nigdy jeszcze noga jego nie postała w kościele. Jego politycznego wpływu, którego zawsze używa na korzyść prawdziwej zasługi i reformy, nie można dość wysoko ocenić; jest on kierownikiem poważnych i uczciwych żywiołów i należy mu się zasłużona cześć. Był czas, w którym Johna Forbesa niezaprzeczonym królem kolejowym Nowej Anglii nazwać można było, a dzisiaj jeszcze, choć w sędziwym wieku, prowadzi administrację swoich przedsiębiorstw z rzadką przenikliwością, bystrością poglądów i młodzieńczą energią.

To są najsłynniejsi dzisiejsi królowie kolejowi, których żelazne trony o tyle są trwałe, o ile na tym niepewnym gruncie, na którym są zbudowane, trwałymi być mogą. Bo któryżby z tych ludzi nie potknął się kiedy? Wszak nie przypuszczano, aby Jay Cooke, król północnej pacyfikalnej kolei, który w swojej cudownej letniej rezydencji w Put-in-Bay hojnie podejmował tłumy gości, tak strasznie zakończył swoją karjerę. Albo czy się spodziewano, ażeby Daniel Drew, ów stary matador Chicago i Nordwestern Railroad, przed którym cała giełda drżała — jako bankrut, na łasce bliźnich życie swoje zakończył? Któżby zresztą nakoniec, przed miesiącem jeszcze Franklinowi Gowern prorokował, że na swojej Reading Railroad tak źle wyjdzie, pomimo że od niej wszystkie okoliczne kopalnie węgli zależały? Tak jest, wielkość królów kolejowych jest problematyczną, a berło ich tak kruche, jak częstokroć podkłady, na których leżą ich szyny.

ŚLIZGAWKA.

Wesoła wrzawa echem niebo bodzie,
Pusty śmiech z śmiechu, krzyk wyrasta z krzyku,
Co skroń, to sińców i guzów bez liku,
Kędyż to wszystko? Jużci że na lodzie.

Pod mroźnym, wichrów północnych uściskiem,
Ścięła się tafla stawu, czy jeziora;
I młodzież sielska, do tych igrzysk skora,
Mknie na wyścigi, po przestworzu śliskiem.

Któż nie widywał, któż nie pomni, w lada
Galerji kunsztu, mówię do turystów,
Tych ślicznych płócien Flamandzkich artystów,
«Merzu» «Teniers'a» lub też «Van-Ostada?»

Otóż z nich jedno odżyło przed nami,
Gwarne, ruchliwe, przejrzyste, jak mało,
Z ram wyskoczywszy, przesuwa się śmiało,
Po tle usianem iskier miljonami.

Jest wszystko, wszystko, od młodej dziewoi,
Z której kosami wiatr swawoli w biegu,
I której liczko, jak gdyby na śniegu
Wykwitłą różą, rumieńcem się stroi;

Do starca który, na brzegu z oddali,
Spektator bierny, z musu, nie nowina,
O ociężałość młodych upomina,
I, trzęsąc głową dawne czasy chwali.

J. S. Chamiec.

PANI SOURDI

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Na drugi dzień, Ferdynand po śniadaniu musiał wyjść z domu. Wróciwszy za dwie godziny i zatrzymawszy się, jak zwykle, w zamyśleniu przed sztalugami, zawołał:

— Ba! ktoś dotykał się do mojego obrazu! Po lewej stronie, widocznie ktoś pracował nad zakątkiem nieba i grupą drzew.

Adela, schyliwszy się nad stolikiem z akwarelami, nie odrazu odpowiedziała.

— Kto to zrobił — powtorzył, zdziwiony więcej niż rozgniewany — czy był tu Rennequin?

— Nie — odpowiedziała Adela, nie podnosząc głowy i udając bardzo zajętą. — To ja bawiłam się... ale to przecież bagatela.

Ferdynand jak z musu uśmiechnął się.

— Więc ty mi chcesz pomódz?... Koloryt bardzo udatny, tylko w jednem miejscu należy zmiękczyć światło.

— Gdzie? — zapytała, wstając — A! tak, ta gałązka...

Wzięła pędzel i poprawiła. On patrzał na nią. Po niejakiem milczeniu, zaczął znowu robić jej uwagi, jak uczennicy, podczas gdy ona dalej malowała niebo. I bez dalszych uwag, postanowiono, iż ona dokończy tło. Czas nie czekał, trzeba było się spieszyć. I oto on kłamał, udawał chorego, a ona pozornie zdawała się temu wierzyć.

— Ponieważ jestem chory — powtarzał co chwila — to twoja pomoc bardzo mi ulży... Tło nie ma znaczenia.

I tym sposobem leżał na kanapie, gdy ona stała przed sztalugami. Od czasu do czasu wstawał, zbliżał się ziewając, rzucał kilka krótkich uwag, czasem zalecił coś przerobić. Był bardzo surowym profesorem. Zaraz od drugiego dnia postanowił, że Adela najprzód wykona tło, zanim on weźmie się do pierwszego planu: to, podług niego, miało mu ułatwić pracę, gdyż czuł się coraz to gorzej i gorzej; wtedy będzie lepiej widać, co należy robić. I tak cały tydzień przepędził w absolutnej bezczynności, drzemał na kanapie, podczas gdy żona stała milcząc nad obrazem po całych dniach. Potem rozruszał się i zabrał się do pierwszego planu. Lecz Adela nie odchodziła od niego, i gdy zaczynał tracić cierpliwość, uspokajała go, wykończała drobne szczegóły, które on jej wskazywał. Często posyłała go, ażeby poszedł odetchnąć świeżem powietrzem w luksemburskim ogrodzie; nie powinien zbytecznie wzruszać się, mówiła czule.

Pozostawszy sama, spieszyła się pracując z kobiecym uporem i nie krępując się, malowała i pierwszy plan. On był tak rozstrojony, że nie zauważał roboty, wykonanej w jego nieobecności; przynajmniej o tem nie mówił; zdawało się — myślał — że obraz posuwa się sam przez się. W przeciągu dwóch tygodni »Jezioro» było skończone. Lecz Adela nie była zadowoloną. Czuła, że czegoś brak. Gdy Ferdynand, uspokojony, mówił że obraz bardzo dobry, ona obojętnie kiwała głową.

— Czegoż ty chcesz? — mówił z gniewem. — Nie możemy przecież zamęczyć się nad obrazem.

Ona chciała, ażeby Ferdynand na obrazie położył pieczęć swej indywidualności. I z zadziwiającą cierpliwością i siłą woli wzbudzała w nim energję. Przez cały tydzień podniecała go i zapalała. Nie wychodził już z domu: obsypywała go pieszczotami, odurzała pochwałami. Potem, gdy nerwy jego były pobudzone, wsuwała mu do ręki pędzel i całemi godzinami zatrzymywała przed obrazem, rozmawiając, sprzeczając się, przyprowadzając do wzburzenia, które podtrzymywało jego siły. Tym sposobem Ferdynand przerobił niejako na nowo obraz, poprawił robotę Adeli, dodawszy jej siły i oryginalności. Zdawało się, że zrobił niewiele, rezultat jednak był olbrzymi. Obraz ożył.

Radość młodej kobiety była wielką. Przyszłość znów się im uśmiechała. Będzie pomagała mężowi, ponieważ długa praca nuży go. Związek ich przez to jeszcze bardziej się wzmocni; to ją zachwycało. Kazała mu na żart przysiądz, że nigdy się nie wygada o jej udziale w pracy; toby ją krępowało. Zgodził się na to zdziwiony. Nie zazdrościł Adeli i wszystkim opowiadał, że ona maluje lepiej od niego — co zresztą było prawdą.

Gdy Rennequin przyszedł zobaczyć »Jezioro», długo nie przemówił ani słowa. Potem zupełnie serjo powinszował młodemu człowiekowi.

— To jest bezwątpienia lepsze od »Spaceru» — powiedział — Tło nadzwyczaj lekkie i wytworne; pierwszy zaś plan imponuje siłą... Tak, tak, bardzo dobrze, bardzo oryginalnie.

I rzeczywiście był zdumiony, lecz nie mówił o przyczynie zdumienia. Ten djabeł Ferdynand zbijał go z toru: nigdy go nie miał za takiego sztukmistrza, a przytem w obrazie było coś nowego, coś niespodziewanego. W głębi duszy jednakże wolał »Spacer» —, zapewne, był on słabszy, lecz indywidualność artysty była w nim wyraźniejszą. W »Jeziorze» talent artysty wzmocnił się i rozwinął, obraz jednak podobał mu się mniej, bo mniej w nim było oryginalności, i dawała się widzieć pewna skłonność do banalnych efektów.

Pomimo to wychodząc powtórzył:

— Zadziwiająco, mój drogi... Będziesz miał szalone powodzenie.

Przepowiedział prawdę. »Jezioro» miało jeszcze większe powodzenie, aniżeli »Spacer». Szczególniej zachwycały się kobiety. Obraz dyszał sztuką; szereg pojazdów, których koła błyszczały na słońcu, malutkie, półnagie figurki jasnemi barwami odbijające się na zieleni lasu, zachwycały widzów, patrzących na malowidło, jak na jubilerską robotę. Lecz bardziej surowi sędziowie, wymagający od utworu sztuki logiki i siły, byli zachwyceni wykonaniem, wiernem pojmowaniem efektów, mistrzowską techniką. Wszyscy krytycy jednozgodnie przyznali, że Ferdynand de Sourdi postąpił. Tylko jeden nieokrzesany człowiek, wzbudzający ogólną nienawiść za spokój, z jakim mówił prawdę, ośmielił się zauważyć, że jeżeli artysta i dalej będzie malował w tym samym zniewieściałym rodzaju, to z oryginalności jego, za jakie pięć lat, nie pozostanie i śladu.

Mieszkańcy ulicy d'Assas, byli bardzo szczęśliwi. Powodzenie było zdobyte nie szturmem i ostatecznie ustalone. Prócz tego, pieniądze zaczęły im napływać do rąk; ze wszystkich stron posypały się zamówienia; byle jakie szkice, znajdujące się w pracowni artysty, rozchwytano i zakupiono po wysokich cenach.

Adela nie straciła głowy w powodzeniu. Nie była skąpą, lecz wychowana w szkole prowincjonalnej oszczędności, znała wartość pieniędzy. Dlatego dbała, ażeby Ferdynand wykonywał zamówienia. Zapisywała termina, wysyłała towar, lokowała pieniądze. Lecz główne jej staraniaześrodkowały się na mężu, którego trzymała w jeżowych rękawiczkach. Systematycznie uregulowała jego życie, przeznaczyła pewną ilość godzin na pracę, resztę na rozrywki. Przytem nigdy się nie gniewała; zawsze była tą interesującą, pełną godno-

ści kobietą, lecz Ferdynand dał jej już taką władzę nad sobą, że drżał przed nią. Bezwątpienia wyświadczyła mu ogromną usługę, gdyż bez jej wpływu byłby już ostatecznie się opuścił i nie tworzył takich arcydzieł, jakie dostarczał w ciągu lat kilku. Była jego siłą, kierownikiem i podporą. Swoją drogą strach, doświadczany wobec niej, nie przeszkadzał mu od czasu do czasu puszczać się na rozpustę; przepadał na pewien czas z domu i powracał chory i zmęczony po dwóch lub trzech dobach hulanki. Lecz za każdym razem dawał jej przez to nowy oręż przeciwko sobie; obchodziła się z nim jeszcze zimniej, przygnębiała go swoją pogardą, i wtedy przez cały tydzień nie ruszał się od sztalug. Zanadto cierpiała jako kobieta, gdy ją zdradzał, ażeby życzyć sobie powtórzenia orgij, po których wracał do niej żałujący i pokorny grzesznik. Z tem wszystkiem, gdy uważała na jego bladej twarzy i w gorączkowym wzroku zbliżanie się kryzys, to z wściekłą niecierpliwością czekała, ażeby ulica przekształciła go na miękką i posłuszną glinę, którą urabiała według woli silną choć niepiękną dłonią. Wiedziała, iż nie jest pociągającą z swoją bezbarwną twarzą i otyłością, i bezwiednie mściła się za to na pięknym mężczyźnie, powracającym do niej, gdy pięknostki zrobiły zeń strzęp lichy. Zresztą Ferdynand szybko się starzał; dostał reumatyzmu, cierpiał na nerwy; w czterdziestym roku rozpustne życie przekształciło go na starca. Lata powinny były uspokoić go.

Po »Jeziorze« postanowiono, że mąż i żona mają pracować razem. Wprawdzie taili to jeszcze i zamknąwszy drzwi na klucz, zabierali się do jednego i tego samego obrazu i pracowali wspólnie. Ferdynand, przedstawiciel talentu męzkiego, był twórcą, wybierał przedmiot i rzucał go na płótno. Potem ustępował miejsca Adeli, przedstawicielce kobiecego talentu — następnie cieniował wszystko kilkoma pociągnięciami. Tym sposobem, w początkach, dawał obrazowi swego wiele, miał sobie za punkt honoru, ażeby żona pomagała mu tylko w szczegółach, w epizodach; lecz niemoc jego wzrastała, i codzień stawał się leniwszym i pozostawiła Adeli coraz to więcej przestrzeni. Tym sposobem, nad każdym nowym obrazem, ona, siłą rzeczy, pracowała coraz to więcej, choć wcale nie miała zamiaru zastępować swoją pracą pracę męża.

Pragnęła jedynie, ażeby nazwisko Sourdi, należące teraz do niej, nie utraciło swej sławy; pragnęła podtrzymać tę sławę, o której będąc jeszcze głupiutkiem dziewczątkiem, bezustannie marzyła. Prócz tego chciała dotrzymać słowa względem kupujących i dostarczać obrazy na termin, jak uczciwy kupiec, dla którego zobowiązania są święte. I oto tym sposobem przymuszoną była naprędce wykończać obrazy, łatać luki zostawione przez Ferdynanda, skoro uważała, iż on niezdolnym jest utrzymać pędzla w drżącej dłoni. Przytem nie przybierała nigdy tryumfującej miny — zawsze była posłuszną uczennicą, pracującą pod jego kierunkiem. Ciągle jeszcze widziała w nim artystę, chyliła przed nim głowę, instynktowo wyznając, że pomimo swego upadku, on zawsze kładł męzkie piętno na ich obrazach. Bez niego nie potrafiłaby malować takich wspaniałych rzeczy.

Rennequin, przed którym małżeństwo taiło się tak, jak przed innymi malarzami, z zadziwieniem uważał, jak męzki talent przekształcał się w talent kobiecy — i nie rozumiał jakim się to działo sposobem. Znajdował, że Ferdynand nie idzie wprawdzie fałszywą drogą, bo ciągle pracuje i maluje nowe obrazy, lecz rozwój jego talentu przybrał taki kierunek, jakiego wprzód nie można było oczekiwać. Pierwszy jego obraz »Spacer« był nacechowany żywą oryginalnością, i oryginalność ta powoli zacierała się w następnych utworach i obrazy jego coraz bardziej stawały się banalnemi. Tymczasem, malował ich jeden pędzel — przynajmniej Rennequin byłby przysiągł na to — do tego stopnia Adela przyswoiła sobie manierę męża. Z drugiej strony obrazy Ferdynanda nabierały jakiejś nieokreślonej czupurności i mieszczańskiej regularności, które raziły starego mistrza. Witał on w młodym przyjacielu niekrępujący się talent, a gniewał się na czupurność i pospolitość ostatnich jego utworów. Raz, wieczorem, w gronie artystów nie wytrzymał i zawołał:

— Szelma de Sourdi robi się lalką... Widzieliście jego ostatni obraz? Chyba już nie ma więcej krwi w żyłach; zupełnie się jakoś zaplątał. Otóż to wieczna historja, jak baby gubią mężczyzn. A wiecie wy co mnie szczególniej wścieka? To, że maluje zawsze dobrze. Jak Boga kocham! Czego się śmiejecie? Sądziłem, że gdy zejdzie z drogi, to zostanie bazgraczem. Tymczasem nie; widocznie wymyślił maszynę, która pracuje za niego regularnie, lecz banalnie... To ostateczny upadek. Człowiek już nie jest wstanie malować źle.

Wszyscy przywykli do paradoksalnych wycieczek Rennequina i bawili się niemi. Lecz on wiedział co chciał powiedzieć; a że kochał Ferdynanda, więc istotnie było mu go żal. Na drugi dzień poszedł na ulicę d'Assas. Zobaczywszy, że klucz tkwi we drzwiach, zdecydował się wejść bez zastukania i stanął w osłupieniu... Ferdynanda nie było w domu. Przed sztalugami Adela kończyła obraz, o którym już naprzód krzyczały gazety. Tak była pogrążona w pracy, że nie słyszała jak drzwi się otworzyły, tem bardziej, że nie myślała, iżby służąca powróciwszy do domu, zapomniała drzwi zamknąć. Rennequin, nie ruszając się z miejsca, patrzał na nią. Malowała pewną ręką, dowodzącą wielkiej wprawy. W zupełności przyswoiła sobie wszystkie te mechaniczne formy, o których wczoraj mówił. Nagle zrozumiał rzecz całą — i to go tak przeraziło, niedyskretność jego postępku była tak widoczną, że spróbował cofnąć się niepostrzeżony a potem dopiero wejść po raz drugi wprzód zastukawszy. Lecz w tem Adela wypadkiem się odwróciła.

— Boże mój! to pan! — zawołała — jakeś się pan tu znalazł, jakeś pan wszedł? — I stanęła w płomieniach. Rennequin również zmieszany, odpowiedział, że tylko co przyszedł. Natychmiast zrozumiał, że gdy zacznie przepraszać, położenie stanie się jeszcze trudniejszem.

— Ehe, robota idzie — przemówił dobrodusznie. — Pomagasz Ferdynandowi.

Twarz jej przybrała tymczasem zwykłą, maskową bladość. Spokojnie odpowiedziała:

— Tak, obraz ten należało oddać jeszcze w poniedziałek, a że Ferdynand znowu słaby... zresztą ja tak tylko, gdzie niegdzie zatuszowywam, bagatela.

Lecz zrozumiała, że takiego człowieka jak Rennequin nie oszuka. I stała, nieruchoma, trzymając w ręku pędzel i paletę. Wtedy on jej powiedział:

— Nie krępuj się moją obecnością. Pracuj sobie.

Uważnie patrzała na niego przez kilka sekund. Następnie zdecydowała się. Teraz on wie już wszystko, po co dłużej udawać? A ponieważ stanowczo obiecała oddać obraz wieczorem, więc zabrała się do roboty z prawdziwie męzką energją. Rennequin usiadł i śledził jej pracę, gdy wszedł Ferdynand. Zpoczątku przeraził się zobaczywszy, że Rennequin siedzi za Adelą i patrzy jak ona maluje. Lecz czuł się bardzo zmęczonym, najzupełniej niezdolnym do silnych wzruszeń. Opuścił się na kanapę, obok starego malarza, z uczuciem człowieka, który niczego nie żąda, tylko ażeby mu dali usnąć. Wszyscy milczeli — i Ferdynand nie miał chęci wdawać się w objaśnienia. No, tak jest, i jemu to wszystko jedno. Po chwili, nachylił się ku Rennequinowi, podczas gdy Adela podniosłszy się na palcach, odrabiała niebo śmiałemi pociągami pędzla, i rzekł mu z prawdziwą dumą:

— Czy wiesz, mon cher, że ona zręczniejsza odemnie... O! ona taka mistrzyni! Taki ma styl! — Gdy Rennequin schodził ze schodów, wzburzony, głośno zawołał:

— Przepadł z kretesem chłopak! Ona mu nie da upaść bardzo nizko, lecz i nie pozwoli podnieść się bardzo wysoko. Skończony bal.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZYRODNICZY SPORT

na północnych włoskich jeziorach

przez

Karola Voigta.

Cesarz Tytus wynajdował codziennie nowy rodzaj dobrego uczynku; Jerzy Ebers co półrocze przedstawia światu kilka nowych egipskich księżniczek; Karol Schimper obchodził każde swe urodziny odkryciem nowej umiejętności, które niestety utonęły w morzu zapomnienia razem z duchami Zöllnera i czwartym wymiarem przestrzeni; Gustaw Jäger odkrywa, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, nowe dusze pa-

chnące, zaczynające już krztusić świat naukowy; dla czegoż więc ja nie miałbym odkryć nowego sportu, który mniej kurzu narobi niż wyścigi konne i mniej hałasu, niż strzelanie do gołębi? Sport wszak musi istnieć; jemu to zawdzięcza Varese swych gości. Błotniste jezioro, w kotlinie leżąca okolica, powietrze duszne i parne — lecz gdy zapytasz gentlemana ze starannie wyczesanemi bokobrodami, lub jego małżonkę, która do obiadu kładzie na głowę wzorzysty czepek nadający jej pozory pokojówki (ma to być dworskie ubranie, a każda Angielka chce w ten sposób dowieść, że ma dworskie obejście), gdy zapytasz tych turystów, dokąd się wybierają, usłyszysz steoretypową odpowiedź; *We shall go to Varese!* A dla czego? Bo w tej płaskiej okolicy znajduje się miły hotel, gdzie odbywają się wyścigi konne i strzelają do gołębi. A więc? *Sport for ewer!*

— *Signore Professore* — mówi Marinaro, spacerując około posągu Wilhelma Tella w *Hotel du Parc* w Lugano — czy nie pójdziemy dziś łowić ryby? Jezioro jest gładkie jak lustro, ryby z pewnością chwytać się będą na wędki, bo w nocy musi być burza!

— To byłoby nie dobrze, gdyż chciałbym dopiero łowić w nocy.

— Omyliłem się zapewne, burza będzie dopiero nad ranem. Czy mam przygotować wędki, a tymczasem *tremaggiungè'm* (mała siatka) łowić małe rybki?

— Nie potrzeba. Przyniosę swe własne przyrządy. Postaraj się tylko o latarkę.

Jest strasznie ciemno; bardzo to pożądana okoliczność dla mego rybołówstwa, gdyż przyszła ma zdobycz obawia się światła. Dziwny świat małych skorupiaków zapełnia wszystkie nasze jeziora, a dopiero przed kilku laty Weismann, Forel, Panesi, Asper i inni zapoznali nas z tą szczególną fauną północnych włoskich jezior która składa się z przezroczystych, po większej części mikroskopijnych zwierzątek.

Obaj rybacy wybuchają głośnym śmiechem, widząc mego kolegę Pavesi'ego z Pawii i mnie z ogromną siatką na motyle i wielkiemi szklankami, podczas gdy za nami wlecze się lina, mająca kilkaset przynajmniej metrów długości, gwicht ważący około dziesięciu funtów i naczynie blaszane. Wszystko to jest ze sobą połączone: naczynie przymocowane do liny w kilkumetrowej odległości od ciężaru ołowianego; w miarę jak my dopływamy do środka jeziora, rybacy wpadają w coraz lepszy humor.

— Chciałbym widzieć te ryby, które będą tyle głupie, że wejdą do blaszanej puszki — woła jeden z nich. Nasze najgłupsze ryby są *agoni* (sardele,) bo można je pochodnią do samego brzegu zwabić, lecz tak głupie nie są, aby, pływając za naszą latarką, pozostały w tej blaszance.

— Mówisz sam jak idjota, czy nie widzisz, że ci panowie chcą motyle łapać w wodzie swemi siatkami? Lecz chociaż woda jest bardzo przeźroczystą, nie łatwo dojrzą w niej fruwających motylów!

— Ba, — odpowiedział pierwszy — dla tego są profesorami i biorą pensje od rządu, aby mieli dobre oczy, a jeśli pomimo tego nic nie widzą, to kładą na nos okulary, jak Niemcy, którzy bez okularów zupełnie są ślepi, a przez szkła tak szczególne rzeczy dostrzegają, o jakich my pojęcia nie mamy!

— Stój! krzyczy Pavesi. Sterujcie wolno, ale ciągle naprzód! Precz z latarką, aby światło nie padało na wodę!

Maczamy nasze delikatne siatki w ten sposób, że one po obu stronach łodzi brzegami dotykają się powierzchni. Długi worek wyciąga się, a woda przepływa przez niego.

— Nalejcie wody do szklanek, poruszajcie ją w nich i postawcie przy każdym z nas po jednej.

Wśród chichotów i śmiechów rybaków wypełniamy te rozkazy. Po dziesięciu mniej więcej minutach wyciągamy siatki i odwracamy je w naczyniach szklannych.

— Dobry połów! — woła Pavesi, oświecając sobie latarką szklankę. W przezroczystej wodzie naczynia, poruszają się jak mrówki, różne organizmy. Majtek, ujrzawszy je, podnosi okrzyk zadziwienia, opuszcza wiosło i woła.

— Nigdybym nie uwierzył, że w czystej wodzie mogą być takie swiństwa (porcherie)! *Signor peofessore,* czy te bestje, które tu tak latają, jakby uciekły z kuchni czartowskiej, rzeczywiście żyją w wodzie? Czyście ich czasem nie przywieźli ze sobą w siatkach, aby nas prostych ludzi wyprowadzić w pole?

— Weź sobie sam szklankę i siatkę, a potem postępuj tak, jak my. Majtek usłuchał tej rady a szklanka jego napełniła się żyjątkami.

— A więc nie może to być czysta sprawa. Gdybym to w kawiarni opowiedział, wzięliby mnie za kłamcę i za drzwi wyrzucili.

— Dla czego — woła drugi majtek — tem częściej trzeba będzie teraz do kawiarni zaglądać. Woda obrzydła mi zupełnie. Przysięgnę sobie, że jej do ust nie wezmę, lecz będę tylko pił wino,

Napróżno staramy się tych ludzi przekonać, że te zwierzęta tylko podczas ciemnej nocy wypływają na powierzchnię, a w dzień na samem dnie, albo przynajmniej w znacznej głębokości pozostają.

— Lecz my łowimy przeważnie w nocy, a wtedy dostajemy też pragnienia, które musimy na jeziorze gasić wodą. W dzień wszak ryb nikt nie łowi.

— Bardzo naturalnie. Małe rybki żywią się temi zwierzątkami, a w nocy wypływają razem z innemi na powierzchnię. Duże zaś ryby czyhają na małe, jak to zapewne wiecie.

— To i dobrze! Lecz gdy w nocy wodę pijemy, dostają się te małe bestyjki do naszych żołądków. Czy nie są one szkodliwe?

— Co się tego tyczy, to możemy was łatwo przekonać. Biorę szklankę, czerpię wodę i piję ją.

— Pijecie tę wodę, choć wiecie co w niej jest!

— Tak, a pomimo tego mam się tak dobrze jak przedtem. Masz tu cygaro i odwołaj twoją przysięgę.

— Niechaj i tak będzie — rzecze majtek, paląc — ale zawsze wolałbym się o tem niedowiedzieć. Lepiej byłoby, gdybym z wami nie chodził.

— Ale w takim razie nie zarobiłbyś też pięciu franków.

— I to prawda, jak Boga kocham.

Kilka razy zapuściwszy siatkę, wróciliśmy do domu, choć nie użyliśmy jeszcze naszego przyrządu do czerpania mułu na dnie jeziora. Szklanki tak są pełne, że nazajutrz nie będziemy mieli dosyć czasu, by wszystkie nasze skarby obejrzeć.

Rzeczywiście mamy masę roboty. Zdobycz nasza składa się głównie z małych skorupiaków (crustaceae,) należących przeważnie do trzech różnych typów. Dwa z nich: *daphnia* i *cyclops* znajdują się masami we wszystkich strumykach i sadzawkach, a więc nie są rzadkiem zjawiskiem. Nie należą one wyłącznie do fauny wielkich jezior, znajdują się one nie tylko we wszystkich słodkich wodach całej ziemi, lecz i w morzu: zna je każdy, kto się kiedykolwiek mikroskopijnemi studjami zajmował. *Cyclops* płynie bystro w wodzie, zatrzymując się potem nagle na jednem miejscu; *daphnia* może być łatwo gołem okiem poznaną, dzięki swej skorupie w kształcie muszli, nad którą sterczą z przodu dwie pletwy, któremi uderza się w wodę i skacząc, porusza się naprzód. Większa część obserwowanych przez nas dafnij nosi jaja, a nawet rozwinięte już młode w worku zarodkowym (Brutsack), znajdującym się na ich grzbiecie.

Najwięcej interesuje nas trzeci typ, który wprawdzie do tego samego gatunku należy ale w swej budowie innego jest zupełnie charakteru. Profesor Weisman z Freiburga łowił już przed laty zwierzątko to w Bodensee i napisał o niem wzorową monografię. Czy nadał on mu też nazwę *Leptodora hygalina,* niewiem, w każdym jednak razie znakomity ten badacz mówił o tem samem zwierzątku. Nazwa zaś powyższa jest dla niego najwłaściwszą.

Leptodora jest w porównaniu z *cyclopsem* i *dafnią* olbrzymem, bo posiada około centymetra długości, a jednak najtrudniej rozpoznać i określić jej kształty. Jest ona tak przezroczystą, że zdaje się, jakoby przygotowaną była ze szlifowanego szkła. Widać tylko coś poruszającego się w wodzie, a najwyżej jakiś cień nieokreślony, skaczący w szklance. Jeśli chcemy przy lampie lepiej za tym cieniem śledzić, to tracimy go zupełnie z oczu, gdyż dziwnie jakoś zmienia swe położenie. Przyzwyczaiwszy się dopiero do obserwowania, można zauważyć, że leptodora obraca się do nieoświetlonej strony szklanki i tu z rozpaczliwą energją uderza gwałtownie głową o szkło, jakby je chciała przedziurawić.

Trzeba umieć zręcznie się wziąć się do rzeczy, aby zwierzątko to umieścić pod mikroskopem i przez niego je obserwować. Zazwyczaj łapią się inne małe zwierzątka, pływające w wodzie, w ten sposób, że zagłębia się rurkę szklanną, zatkaną u góry palcem, aż do samego prawie wierzchu, a potem prędko podnosi się palec. Gwałtowny strumień wciąga zwierzątko do rurki, zatyka się ją znowu i wyjmuje z wody, a zawartość wylewa na szkło zegarkowe, lub miseczkę szklanną. By złapać leptodorę, trzeba użyć rurki dość znacznego kalibru, aby jej kapilarność nie powstrzymywała długo wody. A więc trzeba szybko działać, a jeśli się to już uda, zachodzi nowa trudność w obserwowaniu w płaskiem naczyniu zwierzątek i wydobywaniu ich za pomocą delikatnego pędzelka z wody. Doszedłem wreszcie do tego, że zręcznie wylałem z miseczki wodę, tak iż połowa jej dna pozostała suchą. Wtedy zazwyczaj widzimy jasny szklanny punkcik na suchej części dna, który się zaczyna poru-

*

szać. Pędzlem, albo lepiej delikatną igłą można ten niekształtny punkcik podnieść i przenieść na platę szklanną z kroplą wody, w której leptodora rozszerza się i usiłuje pływać. Prędko trzeba znowu nakryć ją szklanną pokrywką, a potem wziąć pod mikroskop. Ale to żyjątko ze wszystkiemi swemi organami, wyjąwszy czarnego oka, jest tak przezroczyste nawet pod mikroskopem, że przez długi czas trzeba próbować w różny sposób kierować lustrem i szkłami, zanim można wydobyć stosowne oświetlenie, któreby pozwoliło przyjrzeć się jego liniom.

Dziwna karykatura pływającej istoty przedstawia się wreszcie oczom obserwatora. Wyciągnięta, kulista głowa ma na swym zaokrąglonym końcu jedno duże oko z licznemi kryształowemi ostrokręgami i czarnem centrem, które ciągle niespokojnie się porusza i na widełkowatym nerwie spoczywa, łącząc się w okolicy ust za pomocą dwóch gałęzi nerwów z odśrodkami nerwowemi. Ciało jest w tem miejscu trochę grubsze, a cokolwiek dalej znajduje się dosyć duże serce, otoczone wiązkami muskułów, tworzących jakoby obręcze. Bezpośrednio obok niego widzimy worek zarodkowy, w którym znajdują się jaja, albo młode. Cienki, wysmukły brzuch, podzielony na liczne obrączki, zawiera wąski żołądek, rozszerzający się dopiero w ostatniej jego części i tu też zauważyć można nie wielkie organy płciowe. Tylna część ciała zaopatrzona jest w obcążkowate końce, pokryte kolcami.

Na głowie z obu stron oka sterczą dwa małe, porosłe kilkoma włosami macki, które u obu płci różnie są ukształtowane. U samiczki są one krótkie i różkowate; u samców, które są rzadsze i znacznie mniejsze, mają kształt szabli. Znanym jest w ogóle fakt, że na samce niższych rodzajów skorupiaków trudno jest przez większą część roku natrafić. Przez 12 dni nałowiłem tu w Lugano setki leptodor, a pomiędzy niemi zaledwie jeden był samiec. Prócz odrębnej budowy macków różnią się samce od samic bardzo nieznacznie. Wszystkie leptodory mają pod głową dwie ogromne i długie nogi do pływania, które przy końcach rozwijają się w dwie odnogi, pokryte puchem. Obie te nogi, które też u młodych najprzód się kształtują, są głównemi organami ruchu.

Leptodora pływa przy ich pomocy prawidłowo jak człowiek i tem też można ją od innych zwierzątek odróżnić. Prócz tego posiadają leptodory pewną ilość innych jeszcze nóg, które wprawdzie w potrzebie mogą też nogi do pływania zastąpić, zwykle jednak służą tylko do chwytania i połowu innych zwierzątek. Dwie długie i cienkie nogi, przystrojone w grube kolce, mające kształt scyzoryków, wyciągnięte sterczą nad głową leptodory; cztery pary podobnych nóg, trochę krótszych i zmniejszających się z tyłu, zauważyć można koło ust.

Leptodora uzbrojoną więc jest jak zwierzę drapieżne i mogłaby się żywić pchłami wodnemi i innemi zwierzątkami, lecz po większej części w żołądku jej znajdowałem tylko resztki przetrawionej wody.

Jest to więc interesujący sport, którym by można bawić się całemi miesiącami, zajmując się jeszcze strukturą ich jaj i młodych. Leptodory mają jeszcze pewne ekonomiczne znaczenie. Różne rodzaje licznych gatunków pstrągów (coregonus) żywią się wyłącznie prawie temi zwierzątkami. Pstrągów tych nie posiadają jeziora na południu Alp. Można więc je przenieść do tych jezior, gdzie leptodory będą im służyć za wystarczające środki pożywienia. Pstrągi zaś mogą być bogatem źródłem dochodów i żywności dla tamtejszych mieszkańców.

Widzimy więc, że w ten sposób kwestje, mające pozornie tylko nakowy charakter, posiadają często znaczenie ekonomiczne.

ATRAMENT I KREW.

Emil Zola, który poturbował „wszystkich świętych“ współczesnej francuskiej literatury, postanowił przed niedawnym czasem uderzyć w kuźni „Figara“ na wszystkich mężów stanu i wojowników. Chłodnym literackim atramentem oblał gorącą krew ludzi czynu, a walkę swą rozpoczął od najczynniejszego garłacza, od najmarniejszego choć najgłośniejszego pojedynkowicza w Europie. Domyślić się nietrudno, że mowa tu o Pawle Cassagnacu.

Pan de Cassagnac wydrukował w ostatnich czasach artykuł, w którym dowodzi, że mężem politycznym w dzisiejszem tego słowa znaczeniu może być ten tylko, kto przemocą zagarnąwszy władzę, potrafi siłą zatrzymać ją przy sobie. Przedewszystkiem, dowodzi rzecznik bonapartyzmu, działacz polityczny powinien odznaczać się twardym charakterem i nieskruszoną energią, reszta zaś jest głupstwem. Człowiek taki nie potrzebuje mieć talentu. Myśliciele psują wszystko — narodom potrzeba żołnierzy. Wolno nie uczęszczać do szkół, ale bezwarunkowo należy ćwiczyć się w sztuce fechtunku. Zola przeczy temu — dowodzi, że człowiek czynu, bez względu na swoją energię, musi posiadać talent; w przeciwnym razie nie potrafi rozumnie korzystać ze swej siły i łatwo przeistoczyć się może w dzikiego zwierza. W lekceważeniu swojem myślicieli i pisarzy, których Cassagnac uważa nie tylko za ludzi zbytecznych, ale nawet niebezpiecznych, bonapartysta ten posuwa się aż do niedorzeczności. Dowodzi między innemi, że gdyby ideał jego, człowiek z charakterem posiadał władzę, z pewnością zastrzeliłby Zolę jak królika. Ostatni ten pogląd Cassagnaca głównie skłonił Zolę do napisania artykułu pod wspomnianym tytułem:

„Odpowiadam tu, dowodzi Zola, nie w chęci walczenia piórem przeciw szpadzie, lecz odpowiadam gwoli prawdzie o ile temu podołam.

Proszę mi powiedzieć, jakie państwo wskrzeszono potokami krwi. Gdzie podziały się łupy zdobyte mieczem? Gdzie państwo Aleksandra? Gdzie są posiadłości Karola Wielkiego? Gdzie cesarstwo Napoleona? Wszystka krew rozlana przez nich nie przyspieszyła powstania ani jednej idei. Po każdej wojnie ziemia gniła przez kilka stuleci. Nic nie wschodzi tam, gdzie krew przelano, a pola bitew rodzą przekleństwo i zarazę, zakażając zepsutem powietrzem miasta sąsiednie.

Przejdźmy teraz do atramentu, którym tak gardzicie. Jeśli atrament pozostawia plamy, to one w każdym razie nie gniją. Atrament, to życiodajna, wielka siła cywilizacji.

Ani jedna idea nie narodziła się bez atramentu. Bezustanne kwiaty wyrastają z kałamarzy uczonych i pisarzy — cudowne kwiaty ludzkiego geniuszu. W chwili, gdy Napoleon topił nas we krwi bez żadnego pożytku, z atramentu Lavoisiera powstawała nauka, atrament Chateaubrianda i Wiktora Hugo zapładniał literaturę. Gotów jestem pójść o zakład, że ani jedno ludzkie przedsięwzięcie nie powstało bez kropli atramentu.

Widzicie tedy, że nie jest rzeczą bezużyteczną, czernić palce atramentem. Nasz wiek nauki, gdzie inteligencja stanowi arystokrację, nie jest feodalnym wiekiem, gdy siła fizyczna dawała przywileje. Niemniej od wielu innych cenimy odwagę i nie mówiąc już o tem, że różnego rodzaju są odwagi i że pisarz, siedząc w gabinecie swoim często wzrasta na bohatera, sądzimy, że ludzkości w obecnej chwili inteligencja potrzebniejsza jest od odwagi. Niechaj młode pokolenie nasze najwięcej rozlewa atramentu w szkołach, zamiast miałoby co przelewać krew na polach bitew, a nasza Francja będzie wielką, ponieważ 1870 roku pobitą została przez naukę.

Co się tyczy Pawła Cassagnaca, wyrażającego się z pogardą o ciosach, zadawanych kałamarzem, to nie ma on słuszności. Rany te są niebezpieczne i należy ich unikać. Wielu umarło od ciosów, zadanych im kałamarzem w twarz. Zapytajcie Woltera. Od rany, zadanej szpadą, często wracamy do zdrowia; lecz nigdy nie zagoi się rana, wywołana piórem trafnie i silnie skierowanem. Szpada bowiem jest bronią fizyczną i bezrozumną, a pióro jest bronią inteligencji i służy prawdzie.

Wiem dobrze, że mężowie stanu nie będą zadowoleni i nie przyznają się do pojęć zręcznego pojedynkowicza. Zechcą dodać do charakterystyki jego kilka rysów, nieco więcej rozumu i bardzo wiele przebiegłości. A gdy zaczniemy z nich sobie żartować, wtedy zapozują oni na ludzi czynu i nazwą nas pismakami.

Rzecz leży w tem, że ci panowie są ludźmi czynu, a my ludźmi gabinetowymi. Niech i tak będzie, zgadzam się. Idźmy dalej.

Człowiek siedzi w swoim gabinecie. Całemi godzinami nie rusza się z miejsca. Przed nim stoi kałamarz, pióro i papier. Milczenie zupełne, czynu żadnego. Ten człowiek nazywa się Rabélais, Molière, Balzac. Pod tą pozorną martwotą członków kryje się potężna działalność, która świat przeistacza, przyspiesza pochód stuleci, i dojrzewanie ludzkości, bo tu działa dla wieczności pracujący mózg.

Tu znów człowiek stoi u steru władzy w izbach lub na ulicy. On burzy się, siły swe rozprasza w słowach i czynach, i ma pretensje do organizowania państwa. Taki człowiek to Kazimierz Perier, to Guizot lub Thiers. Gdy dostatecznie spełni swą powinność, przechodzi zaraz z przemijającą swą sławą, jak wielcy aktorowie.

Jedynie rzeczywista i trwała działalność spoczywa w pisanej myśli, zaś ludzie polityczni, choćby nawet wyżej stanęli, umierają wraz z dziełem swojem, a domy ich z kart zbudowane, walą się na wiecznie ruchomym piasku historji. Najsprawiedliwsi z nich zarówno jak najwystępniejsi, zaledwie pamięć po sobie pozostawiają. My nawet po śmierci nie możemy o nich sądzić, ponieważ dzieła ich znikły. Tak jest, my rozmyślamy w naszych gabinetach z głębi naszego milczenia — lecz pocieszamy się, spoglądając na sławne owe dzieła ludzi czynu.

Skaczcie, pląsajcie, poćcie się, rozpraszajcie wasze siły, zawsze zostaniecie dla nas obserwatorów tylko marjonetkami, opierającemi się na mniej lub więcej znanym mechanizmie. Jeżeli państwa Aleksandra Wielkiego, Cezara i Napoleona w proch się obróciły, jeśli całe stulecia historji zamykają się w kilku stronicach, jeśli sąd o największych trybunach i ministrach zmieścić można w kilku wierszach, to cóż znaczyć mogą wasze osobiste republiki z ich nietrwałemi etykietami! Nie jestże wobec tego republika oportunistów zgnilizną, albo republika nieprzejednanych!... Wszystko to są przelotne chwile w życiu narodów i może tego co właśnie tak silnie wstrząsa, synowie nasi nawet znać nie będą. My siedzimy w naszych gabinetach, a ten z nas, który tyle jest genialny, że potrafi napisać arcydzieło, unieśmiertelni Francję. Rzym upadł, lecz Wirgiliusz pozostał.

My z naszemi kałamarzami i piórami stanowimy nadzwyczajną siłę. Mężowie stanu dobrze o tem wiedzą i dlatego też drapują się w pogardę. My przykuwamy do siebie słuch i potęgujemy bicie serca. Gdy artysta podnosi głos, dreszcz przechodzi po kościach narodu, wszyscy płaczą lub śmieją się, on panuje, nie umiera, wieki są jego własnością.

Zapewne, pisarz ten może okazać się niezręcznym w sprawach rządzenia krajem. Może nie znać się na fechtunku lub konnej jeździe, wskutek czego okazałby się niezręcznym na mustrze; wreszcie sam on się przyznaje, że nie posiada politycznego zmysłu, i do tego stopnia, że gdyby został posłem, wyżej od niego postawionoby pierwszego lepszego głupca. Nawet stróż leśny nie usłuchałby jego rozkazów. Ponieważ nikogo nie przekonywał, że zbawienie Francji spoczywa w drogocennej jego osobie, może postępować sobie dowoli, zmieniać bieliznę i zmieniać przekonania, nie naruszając ojczyzny. Słowem, nie zostaje wzięty w rachubę przez maszynę państwową, nie do niego bowiem należy działalność bezpośrednia. Lecz co na to wszystko odrzecze przyszłość!

Tak jest, panowie, rządźcie, twórzcie historję. My, jako protokoliści, wszystko to zapisujemy! Lecz miejcie się na baczności! W Rzymie nazywaliśmy się Juwenalem i pisaliśmy satyry. Za restauracji kreśliliśmy pamflety pod nazwiskiem Pawła Ludwika Courriera, a 2. grudnia byliśmy Wiktorem Hugo i policzkowaliśmy powstające cesarstwo wspaniałem nawoływaniem w *Chatiments*.«

KRONIKA TYGODNIOWA.

Na przesileniu dnia z nocą, zaczyna się u nas panowanie śledzi, futer i odczytów, urozmaiconych produkcją domorosłych artystów muzycznych. Otóż zapowiedzi tego wszystkiego już wyszły po trzykroć i kto nie może spokojnie wysiedzieć w domu, ma doskonałą okazją nasycenia uszu i wzbogacenia wiedzy we wszystkich kierunkach. Dziwne zrobiłem spostrzeżenie, że o ile u zwyczajnych ludzi i zwierząt ssących pod zimę wzmaga się apetyt i skłonność do życia, o tyle u literatów, artystów, wydawców i wszelkiego rodzaju inteligentników dzieje się przeciwnie. Gwałtem pragną się wywnętrzać i ekspensować, bez względu, że to dopiero początek zimy i że choćby już dla własnego ogrzania się, wypadałoby być nieco oględniejszym. Proszę zobaczyć okna wystaw księgarskich, ile to tam nowych, zachęcających oko i myśl wydawnictw w różnych językach i formach. Inseraty dziennikarskie zapełnione są samemi tylko zapowiedziami o nowościach na gwiazdkę, a co drugi dzień dostajemy gratis prospekta o przyszłych i istniejących wydawnictwach, prospekta, dające obietnice bez końca, ryciny, próbki różnych gatunków czcionek, a wszystko dla miłości kochanych, szanownych i zacnych czytelników. Widocznie panowie ci mają nas tu w Galicji za umysłowych żarłoków, a to, przyznam się, jest nieco obrażające i grzeszne, boć przecie nie samą książką człowiek żyje, ale ma jeszcze inne potrzeby żołądkowe, zwłaszcza gdy wigilia za pasem.

Ot naprzykład i to tak zwane Koło literackie powzięło zamiar wydania książki zbiorowej dla Zagrzebian, dotkniętych klęską trzęsienia ziemi, i jak się zawinęło, tak w dwa tygodnie od powzięcia zamiaru, już drukuje album i zapewnia, że na 15. stycznia roku przyszłego, będzie gotowe. Dziesięć arkuszy druku napisać w tak krótkim czasie, jest to rzecz niesłychana w historji naszych wydawnictw, a udział w tem przyjęły najpierwsze znakomitości literackie, dając artykuły nieposledniej wartości. Jest tam i Małecki i Fredro, i Liske, razem przeszło trzydzieści nazwisk, znanych w piśmiennictwie. Dlatego też Koło nie troszczy się o odbyt samego album; dotąd sami księgarze zamówili już siedmset egzemplarzy, choć jeszcze książki nie ma, a cóż to będzie, gdy się pokaże na świat i zaimponuje treścią, drukiem, tudzież ozdobnem wydaniem. Kto ma parę guldenów do zbycia, radzimy, żeby je zarezerwował do pierwszych dni stycznia, a nie dozna zawodu i spełni piękny uczynek solidarności plemiennej, o którą starać się powinniśmy. Czem więcej przyjaciół mamy, tem wróg mniej straszny, bo to i w polityce ręka rękę myje. Proszę spojrzeć w tej chwili na Niemców austrjackich w Wiedniu, jakto oni skupiają się i biorą za ręce, żeby znów opanować władzę tyle dla nich drogą. Nie przepuszczają nawet Dworowi, posądzając go, że zbyt lekceważy przemysł austrjacki, robiąc zamówienia za granicą przy urządzaniu nowego Dworu dla Następcy tronu. Mimo objaśnień ze źródeł urzędowych, że to wszystko nieprawda, pan burmistrz wiedeński miał tyle odwagi cywilnej, że publicznie śledził w Paryżu, ażali-ż to prawdą jest, co prawi gazeta urzędowa. Dlatego nie można było lepiej ukarać zuchwałości tych panów, jak to zrobił cesarz i następca tronu, nie przyjmując balu, który miasto zamierzyło wydać w Wiedniu na cześć zaślubin, lecz objawiając życzenie, aby fundusze, na to wydać się mające, przeznaczono dla ubogich. Z swej strony rodzina cesarska dołożyła jeszcze 40,000 złr. — i w tak delikatny a zarazem dotkliwy sposób pokazała hardym mieszczanom wiedeńskim prawdziwie cesarskie niezadowolenie.

Boże drogi, czego ci Niemcy nam zazdroszczą! Dostaliśmy się do władzy, to prawda, ale jakże niewinnie, i z prawdziwie polską butą z nią się obchodzimy. Mospanie znaj Polaka! Nietylko że nie dba o swoje, ale mości dobrodzieju da sobie polę obciąć, żeby nie krzyczano i nie posądzano go o chciwość. Pod tym względem to żydzi wybornie ocenili nasz rozum, nazywając go *delikatnym*; kładziemy na siebie nowe ciężary, ustępujemy nawet nienaciskani, wypieramy się i zaklinamy, że nic nie żądamy, a te żydowskie niemczyska coraz bardziej krzyczą i wrzeszczą i psy na nas wieszają... Tfu, do milion diabłów, na mój szlachecki rozum, drapałbym co się da i nic nie pytał — niechby mieli przynajmniej za co krzyczeć!

Kiedy kronikę tę piszemy, zapewne rozstrzygną się losy teatru skarbkowskiego, kto w nim będzie przez następne lat jedenaście rej wodził. Słyszeliśmy, że tyle było zabiegów, starań, kaptowań i molestów, że jeden z członków rady administracyjnej aż uciekł z opuchniętemi uszami ze Lwowa i powiedział, że na minutę wprzód nie wróci, nim się posiedzenie rady nie rozpocznie. Tymczasem, o ile mogliśmy wywnioskować z różnych pojawiających się głosów i opinji, są one między inteligencją lwowską za p. Dobrzańskim. Nawet artyści teatralni, którzy pod tym względem najlepsze mają doświadczenie i mieli sposobność dotykać bezpośrednio tej sprawy, w piśmie podanem do rady fundacji skarbkowskiej, bez ogródki oświadczyli się za panem Dobrzańskim, przyznając mu tyle zalet jako dyrektorowi teatru i przedsiębiorcy, że sądzimy głos ich wysłuchanym będzie.

Marszałka krajowego jeszcze nie mamy; prasa codzienna maca z zawiązanemi oczyma codzień po kilku kandydatów. Ostatnim był hr. Włodzimierz Dzieduszycki, który już konferował z namiestnikiem, już odmówił, to znowu przyjął i do Wiednia pojechał, — a który jak się pokazało jest słaby na gardło i siedzi w domu tyle myśląc o marszałkowstwie co i wasz uniżony sługa kronikarz „Tygodnia". Za to w ostatnich dniach, chociaż bardzo nieśmiało przebąkują pewne wtajemniczone koła o marszałkowstwie p. Zyblikiewicza, prezydenta krakowskiego. Nie zawsze zgadzaliśmy się z postępowaniem i pojęciami pana Zyblikiewicza, którego czasami zbytnia porywczość, prowadzi dalej niż on sam chce, lecz przyznajemy, że wobec teraźniejszych stosunków i potrzeb Galicji, kto wie czy wybór jego nie byłby najtrafniejszym i najkorzystniejszym dla kraju; Mimo barwy stronnictwa, pod którego stoi sztandarem, a którego powiedzmy prawdę osłania często przed kompromitacją własnych zagorzalców, prezydent miasta Krakowa jest osobistością wybitną, jest jedynym prawie człowiekiem, który coś robi i dodatnio robi w Galicji.. W ślad za piorunami ust jego, jakie czasami rzucał z trybuny, idą tuż czyny, przed któremi wszelka zawiść i obrażona ambicja — milkną. Wśród manekinów politycznych i społecznych u nas, jest to przynajmniej człowiek z krwi i kości, który wie czego chce, a jak chce to i ma, słowem jest to dr. Zyblikiewicz pełen inicjatywy, zapału, woli i pracy.

Zapewne, że nominacja jego na marszałka poszłaby wielu w niesmak, lecz kraj z pewnościąby zyskał dobrego administratora, dzielnego rzecznika i śmiałego reprezentanta wobec Rządu. Dla tego powtarzamy, radzibyśmy gdyby się ta pogłoska sprawdziła, bo nareszcie już czas, aby zasługa i użyteczność dla kraju miały pierwszeństwo przed tytułami i majątkiem. Wątpliwość tylko zachodzi nie co do władzy, ale co do owej laski, symbolu władzy marszałkowskiej; wielu złośliwych utrzymuje, że tę powierzać rękom p. Zyblikiewicza nie byłoby bardzo bezpiecznie...

* * *

Otrzymaliśmy kilka sprawozdań z obchodu tak rocznicy powstania listopadowego w Genewie pod przewodnictwem p. Krystyna Ostrowskiego, znanego patrjoty i autora dramatycznego, jako też obchodu rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, odbytego w Akademji imienia jego w Bolonji. Na pierwszym przemawiał pan Z. Miłkowski znany czytelnikom naszym pod pseudonimem T. T. Jeża, a przemawiał z werwą i przekonaniem o potrzebie odbudowania Polski z punktu widzenia europejskiego. Mitting był nadzwyczaj liczny, a odczytanie listów p.p. Ch. Lemoniera i znakomitego Karola Vogta, przyjacieli Polaków, sprawiło bardzo przyjemne wrażenie na zgromadzonych. W Bolonji znowu prezydował p. Santagate w wielkiej sali bibliotecznej, a przemawiali prócz niego dr. Wołyński, Władysław Mickiewicz i professor Panzacchi. Zgromadzenie było liczne, młodzież uniwersytecka, profesorowie i wiele znakomitych osób płci obojga. Z rodaków, przyjechał umyślnie z Medjolanu zacny i całą duszą kochający kraj swój Wiktor Zienkowicz, którego wraz z innymi Polakami ugościł potem w domu swoim szanowny przyjaciel Polaków, prezes akademji, pan Santagate.

Przyznajemy szczerze, że takie objawy sympatji dla nas i naszego wieszcza, muszą rozradować serce i razem z wdzięcznością dla szlachetnych cudzoziemców wlać otuchę, że sprawa nasza nie może być straconą, jeżeli nawet w dalekich stronach ma tylu dobrych synów dbających o sławę ojczystych bogów.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Antologja polska.* Wybór najcelniejszych utworów zestawił Wł. Bełza z illustracjami Andriollego — Brandta — Kossaka i Lessera. 8-ka str. 408. Lwów 1880, w oprawie 6 złr.

— *Berlicz Sas.* Mozaika. Gawędy szlacheckie z lat ubiegłych 8-ka 2 tom. str. 162, 189. Lwów 1881. 2 złr. 80 ct.

— *Bączalski E.* Nauka rachunków w szkole ludowej, usnuta sposobem obrazowym i przywodzącym, na tle stosunków i zadań praktycznych zestawionych do metrycznego układu miar, część I, 8-ka str. 184 z 11 drzeworytami w tekście. Lwów 1880. 1 złr. 15 ct.

— — Przewodnik metodyczny przy nauce rachunków w szkole ludowej. Wydanie nowe 8-ka str. 73. Lwów 1880. 60 ct.

— *Biliński dr. L.* System ekonomji społecznej tom II. część I. 8-ka str. 256. Lwów 1880. Całość 10 złr.

— *Ciesielski Władysław.* Slavia. Bank wzajemnych ubezpieczeń w Pradze i jego czynności w Galicji, skreślone na podstawie wiarogodnych źródeł. 8-ka str, 21. Lwów 1881. 50 ct.

— *Chmielewski Józef.* O znaczeniu i ważności stowarzyszeń nauczycielskich, tomik I. 16-ka str. 26. Sanok 1880. 20 ct

— *Elementarz hebrejski* podług Rudolfa Fuchsa, opracował dla szkół z wykładowym językiem polskim Nehemiasz Landes. 8-ka str. 50. Lwów 1880. 33 ct.

— *Hoffman Fr.* Pracuj a Bóg ci dopomoże. Opowiadanie dla moich młodych przyjaciół, przełożył Romuald Starkel z czterema rycinami. 16-ka str. 67. Brody 1880. 50 ct.

— *Jeż T. T.* Z ciężkich dni, powieść historyczna. 2 tomy. 8-ka str. 196, 201. Lwów 1880. 3 złr.

— *Kraszewski J. I.* Pan z Panów, sceny z życia naszego. 8-ka str. 192. Lwów 1880. 2 złr. 40 ct.

— *Kuliczkowski Adam.* Zarys dziejów literatury polskiej. Wydanie wtóre. 8-ka, str. 508. Lwów. 1880. 3 złr.

— *Małecki Antoni.* Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki. Drugie poprawne i pomnożone wydanie, 3 tomy. 8-ka, str. 305, 347, 286. Lwów 1880. 5 złr. 40 ct.

— *Mickiewicz Adam.* Dzieła, tom V. 8-ka, str. 295. Paryż 1880. 1 złr. 80. Oprawne w płótno 2 złr. 30.

— *Pilat Tadeusz prof. dr.* Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe bióro statystyczne. Rocznik VI. zeszyt I. 4-o, str. 129. Lwów 1881. 1 złr. 25 ct.

— *Podowski Leon Kalm.* Nasze szlacheckie sądy polubowne. Wincenty Pol i P. Spasowicz. 8-ka, str. 92. Lwów 1880. 50 ct.

— *Szujski Józef.* Długosz i Kallimach. Obraz historyczny, przedstawiony w czterechset letnią rocznicę śmierci Długosza przez Młodzież akademicką uniwersytetu Jagiellońskiego dnia 19. maja 1880. 8-ka, str. 62. Lwów 1880. 1 złr.

— *Tadeusz Kościuszko,* czyli cztery chwile z życia tego bohatera. 8-ka, str. 114. Poznań 1881. 1 złr. 50 ct.

— *Tomaszewski Franciszek.* Chemia dla wyższych klas gimnazjalnych. 8-ka, str. 86. Przemyśl 1880. 60 ct.

— *Ubysz Aleksander.* Chart. 8-ka, str. 99. Lwów 1880. 90 ct.

— *Wodzicki Kazimierz hr.* Wspomnienia z życia łowieckiego. 8-ka, str. 139. Lwów 1880. 1 złr. 80 ct.

— *Ze świata umarłych* przez Izę, w cześć rocznicy listopadowej. 8-ka, str. 37. Lwów 1880. 40 ct.

— *Zorjan.* Romans z Aktorką, powieść. 8-ka, str. 147. Lwów 1880. 1 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Z powodu powtarzających się w dziennikach czeskich i naszych wiadomości, iż p. Ludwik Grabowski ofiarował 20.000 rs. na „Macierz“; jesteśmy zmuszeni prosić redakcje pism naszych o sprostowanie.

P. Ludwik Grabowski żadnej ofiary na cel wyżej wymieniony nie zrobił i, zdaje się, że uczynić jej nie myśli.

Suum cuique, nie należy więc czynić niewinnemu tej przykrości i obwiniać o niepopełnioną rozrzutność.

Drezno, dnia 7. grudnia 1880 r.

J. I, Kraszewski.

*** Długo odłogiem leżące pole archeologji i bibljografji ożywiać się mocno zaczyna.

Pracownicy w tym kierunku dotąd działali każdy na swoją rękę, bez wzajemnego porozumienia się między sobą a rezultaty ich pracy z wielką trudnością przenikały w ogół publiczności, pisma bowiem perjodyczne niespecjalne w bardzo skromnych tylko dozach poświęcać mogły swe szpalty tak badaniu prastarych pamiątek i zabytków przeszłości, jak i notowaniu z bibljograficzną starannością pojawiających się płodów myśli ludzkiej.

Dla zapełnienia właśnie tych braków powstaje obecnie w Warszawie organ specjalny tym przedmiotom poświęcony.

Nosić on ma tytuł: *Przegląd bibliograficzno-archeologiczny.*

Illustrowane to pismo pomieszczać będzie według programu: rozporządzenia rządowe, ustawy itp. dotyczące prasy, wydawnictw, własności literackiej, bibljotek, towarzystw naukowych itd.; studja i rozprawy z dziedziny wiedzy specjalnej zakresem pisma objętej; życiorysy pracowników na tem polu; sprawozdania z czynności towarzystw naukowych; wiadomości dotyczące monografij rodzin, przedruki dokumentów, podobizny napisów i autografów; dalej zamieszczane będą: bibljografja krajowa i zagraniczna i sprawozdania krytyczne z nowych wydawnictw, opisy bibljotek i zbiorów, sprawozdania o ruchu księgarskim i antykwarskim, rady dla zbieraczy i amatorów itd.

Redaktorem i wydawcą tego pożytecznego pisma będzie p. Cezar Wilanowski.

*** Dowiadujemy się, iż kilku studentów wydziału prawnego warszawskiego uniwersytetu, idąc za radą profesora na katedrze rzymskiego prawa, dra Teodora Dydyńskiego, podjęło pracę ułożenia słownika łacińsko-polskiego do specjalnego użytku przy studjowaniu pomników prawa rzymskiego, np. *Corpus juris civilis* Justynjana.

Wiadomo, że język pomników prawa rzymskiego ma wiele odrębnych właściwości, tak, że nawet dość biegli znawcy języka łacińskiego napotykali trudność przy komentowaniu źródeł.

Trudności były tem większe, iż literatura nasza nie posiadała dotąd specjalnego w tym kierunku słownika.

Słownik więc, mający być ułożonym przez studentów, zapełni ten brak i przyniesie rzeczywiste korzyści dla naszych specjalistów.

Specjalny ten słownik jest opracowywany podług najnowszych niemieckich źródeł

*** „Historja literatur słowiańskich“ Spasowicza i Pypina dobija się coraz szerszego rozgłosu za granicą.

Czasopisma niemieckie i angielskie oddają dziełu temu wielkie pochwały.

Obecnie dochodzi nas wiadomość, iż przygotowano przekłady rzeczonej książki na język czeski i francuski.

Wiadomość ta jest ważną ze względu, iż dział literatury polskiej przeniknie w ten sposób do uczonych zachodniej Europy i przestanie być zagadką, której dotąd w odpowiedniem kompendjum nie rozwiązano.

Przekład polski tejże pracy już jest oddawna przygotowanym.

*** Czesi zawstydzają nas pilnością w studjach nad naszą mową.

W Bernie morawskiem wydano „Gramatykę języka polskiego dla początkujących“, nakładem Winikiera.

Wykład czeski obejmuje pisownię i głosownię.

Nauka języka przedstawioną jest praktycznie.

Autor podaje utwór poetyczny Mickiewicza i rozbiera go po wyrazie, zaznaczając podobieństwa z językiem czeskim i różnice.

Część naukową wyłożono podług zasad Małeckiego.

Załączono przytem tekst „Wiesława z adnotacjami filologicznemi, oraz z warjantami.

Całość nadzwyczaj zwięzła (str. 116) odznacza się pedagogiczną ścisłością.

*** W Londynie ukazała się „Gramatyka polska dla Anglików“, pióra Baranowskiego.

*** „Ateneum“ w zeszycie za m. grudzień z rb. zawiera: 1. Stosunki gminne w Królestwie Polskiem i właściwy kierunek ich rozwoju, przez Juljana Łapickiego. 2. Sylwek cmentarnik, przez K. Orzeszkową. 3. Ostatnie lata Witołda, przez Antoniego Prochazkę. 4. Szkice z Anglji, przez Sewera. 5. Nowe książki dla dzieci. Przegląd Pedagogiczny, przez P. Chmielowskiego i Romana Plenkiewicza. 6. Rozbiory i sprawozdania. a) Svod zakonow słowanskych F. Tempskeho przez R. b) Mózg i jego czynności. przez J. Louysa, przełożył dr. Teodor Dunin, przez Antoniego Słósarskiego. c) Dzieje Polski w zarysie. Ułożył Lucjan Tatomir, przez Wł. Smoleńskiego. d) List do redakcji. J. Radlińskiego. 7. Kronika naukowa. 8. Kronika miesięczna.

*** „Przegląd Polski“ w zeszycie za miesiąc grudzień zawiera: 1. Stosunek Brandenburgji do kościoła katolickiego w ziemiach polskich od r. 1640 do 1740, przez Seweryna Przyrowę. 2 Szkice z podróży do Afryki odbytej w latach 1875-1876. 3. Nieco o dowcipach, żartach i poezjach okolicznościowych na dworze Stanisława Augusta, przez Stanisława Tomkowicza. 4. Kwestja polska w literaturze rosyjskiej, przez L Kozłowskiego. 5. Przegląd literacki. 6. Przegląd polityczny. 7. Nowe książki.

Sztuki Piękne.

*** P. Józef Łaski, za staraniem którego od r. 1878 ukazują się w specjalnej publikacji „Ryciny polskich i obcych rytowników z XVII i XVIII wieków“, podjął obecnie wydawnictwo zupełne sztychów historycznych polskich znakomitego Jeremiasza Falcka.

Zbiór ten zawierać będzie rycin czterdzieści. Tekst do dzieła dołączony, mieścić w sobie będzie życiorysy znakomitości, w portretach przedstawionych, biograficzną wiadomość o Jeremiaszu Falcku, tudzież spis rycin polskich tego artysty, z podaniem wymiaru oryginałów.

*** O koncercie pianistki hr. Schmatlow Gyertaffy, z sześcioletnią córeczką Desirée śpiewaczką, „Kurjer warszawski“ pisze:

Teatr rozmaitości stał się widownią skandalu, zasługującego na zanotowanie choćby tylko ze względu, że był pierwszym w swoim rodzaju i prawdopodobnie jedynym — bo jeżeli nie co innego, to przynajmniej rozumne znalezienie się publiczności daje rękojmię, że nic podobnego już się tam powtórzyć nie może.

W teatrze, którego zasłonę zdobią popiersia Wojciecha Bogusławskiego, Aleksandra Fredry, gdzie dobrana publiczność przyklaskiwała talentom Żółkowskiego, Królikowskiego, Bakałowiczowej, Modrzejowskiej, Popielównej, gdzie rozwinęli się tacy artyści jak Rapacki, Ostrowski, Szymanowski, Tatarkiewicz — na tej samej scenie odbył się koncert przypominający muzykę z Saskiej Kępy, z pod „Raka“, lub z pierwszej lepszej zarogatkowej knajpy.

Pomijamy grę na fortepianie „hrabiny“ (przezwisko trudne jest zarówno do wymówienia jak do napisania) — ta była tylko śmieszną: ale niepodobna bez oburzenia wspomnieć o wstrętnej eksploatacji kilkoletniego dziecka, które w kostjumie do kataryniki, z wyuczonemi automatycznemi gestami, z pocałunkami posyłanemi od buzi publiczności nie wiedzącej, czy śmiać się czy smucić — piszczało, ujmując się pod boki, tak zwane pieśni narodowe węgierskie.

Publiczność widocznie pasowała się między litością i oburzeniem; to ostatnie zwyciężyło; po drugim numerze wszyscy wyszli...

*** W paryskim teatrze Palais Royal przedstawiono po raz pierwszy nową 3-aktową komedję Wiktoryna Sardou i Emila Najac p. t. *Divorçons*; sztuka miała niezmierne powodzenie.

*** Karol Lecocq skomponował nową komiczną operę, do której libretta dostarczyli Meilhac i Halewy; rzecz nosi tytuł „Janot“ i wkrótce ma być oddaną do nauki teatrowi *de la Renaissance*.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Nowy zakład leczniczy. Majątek ziemski Łękowa, położony w powiecie piotrkowskim w Kongresówce, nabyty został w tych czasach przez jednego z lekarzy warszawskich p. B.

Ma być tam urządzony zakład leczniczy mleczny i kuracyjny.

Miejscowość piękna, obfitość wody, ładny park, sosnowe lasy sprzyjają podobno zamiarowi.

*** Pisma warszawskie podały pocieszną wieść o arcyoryginalnym zapisie jednego z lekarzy tamtejszych.

Zapisodawca przekazał ciało swoje gabinetowi anatomicznemu, a szkielet córce własnej lub pierwszej studentce medycyny polskiej narodowości.

Curiosum to.. dostało się do zagranicznych dzienników, między innemi zaś spotkaliśmy je w ostatnim numerze „Berl. Börs. Courier“, który wszakże doniesienie swoje zaczyna słowy: *„Ein in Warschau verstorbener Arzt»*...

Mniemany nieboszczyk jednak żyje i nie tak rychło zamyśla rozstać się z swoją ziemską powłoką...

*** Rzeczpospolita San Domingo zamierza wznieść pomnik Kolumbowi. Kongres rzeczypospolitej postanowił znalezione w katedrze stołecznej w dniu 10. września 1877 roku kości, które uznano za należące do Krzysztofa Kolumba, złożyć pod mającym się w tym celu wznieść pomnikiem. Wszystkie rządy amerykańskie wezwane zostały do składki. Rząd San Domingo przeznaczył 10,000 dolarów.

*** W Paryżu w sierpniu roku przyszłego urządzoną zostanie międzynarodowa wystawa elektryczna. W czasie wystawy zbierze się kongres dla spraw elektryczności. Koszta urządzenia wystawy pokryje państwo. Wystawa otwartą zostanie w dniu 1. sierpnia, a zamkniętą w dniu 15. listopada.

*** Dorożki parowe Bolée'go, które w Berlinie weszły już w modę, wywołały nowy wynalazek, będący dalszem rozwinięciem tegoż samego przemysłu. W Le Mans zbudowano duży wóz do transportu ciężarów, mogący na zwykłej szosie dźwigać ładunek 1600 cetnarów. Wynalazek ten może nieobliczone korzyści przynieść rolnictwu i armji.

*** Dowiadujemy się, że w Krymie w winnicach dra Gołubiona pojawiła się filoksera.

Ponieważ straszny ten owad rozchodzi się z przerażającą szybkością, a gdzie się tylko ukaże, niszczy winnice do szczętu, więc ostrzegamy czytelników naszych, żeby sadzonek, ani krzaków winnych z południowej Rosji nie nabywali.

Skutecznego środka przeciw filokserze dotąd nie wynaleziono.

*** Nowy dziki szczep winny. P. T. Lécard, podróżnik afrykański, w liście swoim do ministra oświecenia narodowego w Paryżu, pisze między innemi: „Niezmierne i niebezpieczne pustynie Sudanu, dotychczas jeszcze niezbadane, kryją w sobie mnogie niespodzianki, mianowicie pod względem produktów ziemnych. Codziennie napotykamy rośliny nowe, nieznane botanikom, a badania godne. Pomiędzy temi świeżemi nabytkami, mogę już obecnie zwrócić uwagę na dzikie szczepy winne, z doskonałym owocem, o łodydze zielnej i trwałych korzeniach. Piękność i obfitość owoców, krzepkość rośliny w dzikiej jej postaci, łatwość uprawy przez proste coroczne tylko sadzenie główkowatych jej korzeni, wnosić pozwala, że nowe te gatunki mogą zmienić całkowicie warunki hodowli wina we Francji i zwiększyć jego produkcję w niedających się przewidzieć obecnie rozmiarach. Wino to hodować można będzie we Francji jak georginie, a odkrycie jego może stać się jedynym środkiem zaradczym przeciwko filokserze. Posiadam w zielniku moim wielką liczbę okazów tej rośliny we wszystkich okresach rozwoju a nadto dużą ilość nasienia dla obdarzenia niem wszystkich zakładów rolniczych lub naukowych Francji, Algierji, a nawet Europy.“

*** Koń polski. Z powodu sporu o istnieniu rasy koni polskich, do „Gazety Lubelskiej“ nadesłał jeden z ziemian następującą notatkę p. K. Girdwojńa, będącą wyciągiem z notat spisywanych z wykładu profesora niemieckiego.

„Dr. Möller w zimowym kursie 1873 roku w Prószkowie pomiędzy rasami, należącemi do typu mongolsko scytyjskiego, wymienił czternastą z kolei rasę: „Koń polski.“

Dawniej koń ten był bardzo sławnym ze swej wytrwałości, znane zaś były dwa gatunki konia polskiego:

a) Mniejszy — 5 stóp, szerokiej budowy ciała, zwięzły, szyja prosta i sucha, tak zwana jelenia, głowa mocna, głęboko osadzona, kłąb wysoki, grzbiet i lędźwie ostre, z powodu długiej kości krzyża cokolwiek spadzistego, mimo to niezwykle silnego, kości nożne grube i mocne, jak również pęciny; rozwija się późno, dopiero w 6 roku.

b) Większy — 5'5" służył wyłącznie do konnej jazdy: grzbiet karpiowaty, nadzwyczaj mocny, często narowisty, a zawsze wymagający dobrego jeźdźca.

Gdy chów koni więcej był rozpowszechniony w Polsce, konie tego gatunku bardzo poszukiwane, w wielkiej ilości kupowane były do Niemiec, Anglii i Francji.

Jestem przekonania, że gatunek koni polskich większy wytworzył się tylko silniejszem żywieniem.“

Odkrycia i wynalazki.

*** Profesor Giuseppe Novi odkrył niedaleko Herkulanum ruiny starożytnych łazienek i gmachów otaczających je; ruiny pokryte są warstwą popiołu i lawiny na dzinsięć metrów.

*** Na ostatniem posiedzeniu londyńskiego „Royal Society“ prof. Bell przedstawił swój nowo skonstruowany instrument photophon; rezultat prób nie dość zadowalający.

*** Olbrzymi piszczel jakiegoś zwierzęcia, prawdopodobnie przedpotopowego, wydobył w tych dniach w pobliżu Wisły, pod Puławami, pewien mieszkaniec Lublina.

Piszczel zostanie przesłany do Lublina...

*** W prowincji Jemen w Arabji, w okolicy Sanaa odkryto żyłę złota, którego próby bada komisja wysłana przez rząd turecki. Gorąca wyobraźnia Arabów upatruje w tem odkryciu pokłady złota najbogatsze w świecie. O innem takiem samem odkryciu donoszą z Australji. O 150 mil ang. na południe od portu Darwina miano odkryć pokłady złota, odznaczające się nadzwyczajną wielkością znajdowanych kawałków. Bardzo wiele z nich waży po 80 uncji, a znaleziono jedną bryłę ważącą 24 funty. Ku wielkiemu smutkowi Europejczyków, na poszukiwanie złota rzucili się już tam Chińczycy.

Statystyka.

*** *Kobiety - lekarki.* W roku 1872 zatwierdzoną została ustawa, na mocy której początkowo w medyko - chirurgicznej akademji, a następnie w mikołajewskim wojskowym szpitalu, otwarte zostały kursa lekarskie dla kobiet, chcących poświęcić się zawodowi lekarskiemu.

Instytucja ta jest unikatem w Europie — nie bez zajęcia więc, jak sądzimy, przejrzy czytelnik szczegóły. dotyczące jej bytu, zamieszczone w ostatnich numerach „Wracza“, a streszczone też przez dra A. Kwaśnickiego w krakowskim „Przeglądzie lekarskim“.

W roku 1872 zapisało się na kursa lekarskie kobiet 89, 1873 — 89, 1874 — 80, 1875 — 93, 1876 — 130, 1877 — 122, 1878 — 108, 1879 — 79.

Nagłe zmniejszenie się liczby wpisanych w roku 1879 należy tłumaczyć wprowadzeniem w wykonanie ustawy rozszerzającej znacznie zakres wymagań przygotowawczych od zgłaszających się do wpisu.

Najmłodsza uczennica liczyła lat 18, i takich było w ciągu 8 lat 4%, najstarsza przeszło lat 30, ilość ich w ciągu lat 8 wynosiła 3%, 21-rocznych było najwięcej, mianowicie 28%.

Największy kontyngens uczennic (30%) stanowiły córki urzędników; reszta rozkłada się w sposób następujący: córki i żony kupców (17%), wojskowych (13%), mieszczan (13%), duchownych (7%), szlachty (6%), lekarzy i studentów medycyny (5%), nauczycieli, aptekarzy i inżynierów (2%), córki żołnierzy (2%), wieśniaków (1%), rzemieśluików (0·5), cudzoziemek (2·1%).

Ogólna liczba uczennnic podług wyznań: prawosławnych 72%, izraelitek 21·1%, katoliczek 4·8%, luteranek 2·1%.

Najwięcej uczennic dała gubernja petersburska, po niej moskiewska, następnie chersońska, Krym, gubernia jekaterynosławska, Bessarabja — słowem kraj neworosyjski, z którego pochodzą wyżej oznaczone 21% izraelitek.

Z gubernji wileńskiej było uczennic 15, z mohylewskiej 14, z mińskiej 7, z grodzieńskiej, podolskiej po 6, z Królewstwa Polskiego 5. z Wołynia 4.

Narodowość i religja uczennic z Gubernji Królestwa, wileńskiej i podolskiej nie są podane.

Podług stosunków rodzinnych było uczennic: panien 89·4%, mężatek 9%, wdów 1·6%; w ciągu lat szkolnych wyszło za mąż 15·9%.

Stan majątkowy uczennic z małym wyjątkiem bardzo niski.

Streszczając wyżej podane szczegóły widzimy, iż główny zastęp uczennic stanowią panny liczące lat 20—21, prawosławne, należące do klas wykształceńszych, przemieszkujące w gubernjach: petersburskiej, moskiewskiej, w kraju naworosyjskim, oraz w gubernjach po brzegu Wołgi leżących.

Na 100 uczennic, które wpisały się w tym samym roku zaledwo połowa jednocześnie dochodzi do kursu trzeciego, na kursie czwartym liczba ich wynosi 43·7%, na piątym uszczupla się do 38·5% a tylko 7·3% otrzymuje dyplom lekarski.

Prócz niemożebności złożenia egzaminów, na tę wielką liczbę ubywających wpływała zmiana zapatrywania się na zawód lekarski, zmiana stosunków rodzinnych i t. d, śmiertelność wynosiła 3%, najwięcej zmarło z suchot.

Wdowy i wychodzące za mąż podczas nauk uczennice wychowane w szkołach średnich, stanowią znaczny procent otrzymujących dyplom; panny, mężatki i wychowane w domu rodzicielskim figurują w poważnej liczbie między temi, które nie są w stanie złożyć egzaminów końcowych.

Z tych, które do tej pory otrzymały dyplom lekarski, o ile autorowi wiadomo, 20 lekarek zajęło stanowiska lekarzy gminnych, 10 pełni obowiązki asystentek przy rozmaitych katedrach (zapewne w szkole żeńskiej) inne trudnią się praktyką prywatną.

ROZMAITOŚCI.

RĘKA.

Materjalne, cielesne pojęcie ręki przyćmione zostało w mowie i życiu taką rozmaitością duchowego jej znaczenia, że pierwotny obraz „pięciopalcowej towarzyszki człowieka“ już tylko bardzo rzadko w właściwem świetle się przedstawia.

„Podać rękę“ oznacza uprzejmą, uprzedzającą troskliwość, która nie oczekuje dopiero objawienia tego życzenia.

„Oddasz mi twoją rękę? — od odpowiedzi na to pytanie zawisła dola lub niedola całego życia!

W kościele przechował się obyczaj dwóch rąk splecionych ze sobą, jako symbol związku małżeńskiego; — ręka męża to silna, niezachwiana obrona i opieka, obejmuje więc i osłania drobną rączkę niewiasty, której paluszki kryją się i tulą w jego ręce z ufnością i spokojem, jak ptaszęta w gniazdeczku...

Sztuka wróżenia z dłoni nie jest nieomylną — natomiast przypatrzmy się uważnie zewnętrznej stronie ręki lub całej pięści, ta nas cokolwiek lepiej oświeci.

Oto z jednej strony pięść, która śmiga młotem kowalskim, ciska harpuny, pługiem kieruje, węgle z kopalń wydobywa — a z drugiej rączka rozsuwająca listeczki z pączków, rozpościerająca skrzydełka motylom, dziergająca koronki, opatrująca rany, prowadząca smyczek, pióro lub pędzel.

Cóż to za różnica!

Trzeba jednakże w wydaniu wyroku z pozoru zachować niezbędnie pewną miarę, gdyż nieoględny trybunał mógłby łatwo zwinną i zręczną rękę krawca wziąć za wychuchaną rękę zamożnego próżniaka...

Czynności twórczej towarzyszy zawsze hamulec powstrzymujący.

Gdy rumak się wspina, ściągnięte cugle zmuszają go do zgięcia upornej głowy ku ziemi — żagiel wichrem gnany, omal że nie odda wiotkiej łodzi falom na pastwę, lecz zręczny ruch nie dopuszcza zboczenia z obranego kierunku...

W oddziałach maszynowych zakładów fabrycznych występuje ręka ludzka przeważnie tylko jako kierownik i organ porządku nad ujarzmionemi siłami ognia, wody, elektryczności itp., pragnącemi zrzucić z siebie krępujące je kajdany.

Dzieła rąk męzkich odznaczają się użytecznością i trwałością; kobiecych zaś delikatnością, zgrabnością i... znikomością...

Ścieranie kurzu wtenczas dopiero wpadnie w oko, jeżeli je zaniedbano; ten sam rezultat objawia się w różnorodnych właściwych rękom kobiecym porządeczkach i zajęciach około przedmiotów codziennego życia domowego.

Jeżeli duma mężczyzny posuwa się tak daleko, że imię swoje ryje niejako na skale z tryumfującemi słowami: „kamienie o tobie rozpowiadać będą“ — toć z drugiej strony kobiecie-matce wystarcza najzupełniej promieniejące oblicze nasyconego, który odwracając oczy od próżnego półmiska, powiada: potrawa twoją ręką przyrządzona smakuje mi najlepiej...

Ślepy czyta ręką; ręka zastępuje mu oko do tego stopnia, że nawet barwy rozpoznawać może; niememu zastępuje ona usta w porozumieniu się z innymi.

Ba, lecz nawet ludzie najwymowniejsi podają sobie dłonie i ściskają się za ręce przy powitaniu lub pożegnaniu, wznoszą prawicę groźnie do góry, przestrzegając lub przeklinając, palcem wskazują, uzupełniając nim dane objaśnienie kierunku, chociaż ta wskazująca pozycja ręki wzbudziła niegdyś do tego stopnia niezadowolenie uprzedzającej francuskiej grzeczności, że podczas podróży króla Ludwika XIV umieszczone na drogoskazach drewniane palce białą skórką powleczono...

Jedna i taż sama ręka może ranić i... ranę goić, karcić i... pieścić, siać i... zbierać, jednym pociągiem pióra wyrokować o życiu lub... śmierci; jedna i ta sama ręka może powitać lub... pożegnać, jałmużnę przyjmować lub... rozdzielać, może zrywać kwiaty na przystrojenie szczęśliwej oblubienicy lub też drogiej mogiły.

Powiadają, że nie należy bezwzględnie wymagać użyteczności od tego, co ma przeznaczenie być tylko pięknem, — i w samej rzeczy znajdują się rączki tak lube, tak delikatne, że gorące podziwianie nie dopuszcza ich do zajęcia się choćby najskromniejszą robótką; rączek takich dotknąć inaczej nie wolno, jak tylko hołdowniczym pełnym szacunku pocałunkiem...

Jednakże z drugiej strony wiadomo, że „praca uszlachetnia“ — należałoby więc raczej postawić takie twierdzenie:

„Można do pewnego stopnia wymagać użyteczności od każdej ręki, gdyż sama piękność tylko nie była nigdy żadnej ręki przeznaczeniem!“

W końcu nie od rzeczy będzie dodać, że od starożytnych jakoteż nowszych języków zapożyczył i polski język w dosłownem po części tłómaczeniu niektóre zwroty pochodzące od ręki, jako to:

Ręka rękę myje — być pod ręką — nosić kogoś na rękach — pełnemi rękami — rękami i nogami — z ręki do ręki — przed ręką — mieć kogoś w ręku — ręka w znaczeniu charakteru pisma — podnieść rękę na kogo — przyłożyć rękę do czegoś — umywać ręce od wszystkiego — z wolnej ręki sprzedać — komuś wpaść w ręce — mieć coś pod ręką — jako oznaczenie strony: po prawej ręce itd. — żyć z pracy rąk swoich — podać pomocną rękę — przy grze być na ręku — wyręczyć się kimś — z ręki do ust — iść pod rękę — kupić z drugiej ręki — z dobrej ręki — założyć ręce na piersi — wypuścić z rąk — odwrócić rękę od kogoś — klaskać w ręce — rysować z wolnej ręki — ręka w rękę — ręka sprawiedliwości — życie moje spoczywa w jego rękach — dać na rękę — robota pali mu się w rękach — z pod ręki mi zniknęło — dać ciepłą ręką — wyjść obronną ręką — załamać ręce nad głową — umaczać ręce w jakiej sprawie — mieć związane ręce itd.

E. K.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 51. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.